Kurjer literacko-naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 42

Zagadka Cromwella

POŚMIERTNE DZIEJE LORDA PROTEKTORA

Meteoryczna była karjera Olivera Cromwella. Jako syn średnio zamożnego wiejskiego szlachcica wszedł do parlamentu. Gdy wybuchła wojna domowa, rujnując się, wystawił własnym kosztem oddział jazdy przeciw królowi. W ciągu lat kilku doszedł do stanowiska naczelnego wodza, stał się uznanym przywódcą stronnictwa republikańskiego, wreszcie oddano mu nieograniczoną prawie władzę jako lordowi protektorowi. Trzy parlamenty rozwiązał w ciągu pięcioletnich rządów i władał Anglją jako dyktator wojskowy. A władał energicznie i szczęśliwie. Widać to przedewszystkiem po jego powodzeniach w polityce zagranicznej. Cromwell poczuł się spadkobiercą Gustawa Adolfa, głową obozu protestanckiego i zwalczał na każdym kroku katolicyzm. Wie o tem coś Polska, przeciw której stworzył protestancką koalicję, złożoną ze Szwecji, Siedmiogrodu i Brandenburgji. Wielkie plany zniszczenia państw katolickich nie powiodły się, ale Anglja odniosła szereg zwycięstw i była za rządów zdolnego uzurpatora pierwszą potęgą europejską.

Rojaliści, katolicy i umiarkowani protestanci byli narażeni na straszliwy ucisk, ale musieli milczeć. Napajał się też Cromwell do woli za życia wonią kadzideł. Już gdy w r. 1649 wracał do Anglji po krwawej kampanji Irlandzkiej, witał go Andrew Marvell odą, w której z emfazą nazywał go płomieniem gniewnego nieba, któremu opierać się i który ganić jest szaleństwem. W pięć lat później inny wybitny poeta, Edmund Waller, z przekonań rojalista, wywdzięczył się protektorowi za pozwolenie powrotu z wygnania innym sławnym panegirykiem. Opiewał protektora i inny późniejszy rojalista, John Dryden, poświęcając mu jeden ze swych najwcześniejszych utworów. Zewsząd słychać było głosy uwielbienia i pochlebstwa.

3 września 1658 znany współczesny pamiętnikarz John Evelyn zanotował lakonicznie:

Umarł ten arcybuntownik. Oliver Cromwell, zwany protektorem.

Rojalista pisał w tajemnicy i dla siebie. Wypowiedział jednak sąd, który długo miał utrzymać się w Anglji, gdzie ograniczono władzę królewską do minimum i zmieniono w instytucję czysto reprezentacyjną, ale zachowano dla niej cześć i przywiązanie. Cromwella słusznie uważano za głównego sprawcę egzekucji Karola I. i długo mu tego nie chciano przebaczyć.

W półtora roku bowiem po zgonie protektora nastąpiła restauracja monarchji. Karol II nie był człowiekiem okrutnym i unikał wyroków śmierci nawet na tych, którzy skazali jego ojca. Nie przebaczył jednak zmarłym. Ciało Cromwella wyciągnięto z grobu i powieszono w Tyburn, na znanem miejscu egzekucyi. Przez długie lata wspominano go ze wstrętem i nienawiścią jako królobójcę.

Dopiero wiek XX. przyniósł wyraźną zmianę. Carlyle sympatyzował z Cromwellem jako z purytaninem i jako z mądrym tyranem, godnym do zaliczenia w poczet „bohaterów". Potem historjografja stała się rodzajem monopolu liberałów, a ci traktowali protektora z sympatją. Pisał o nim np. klasyczny biograf lord Morley. Mimo całej lojalności Anglików królobójstwo z przed ćwierć tysiąca lat przestało oburzać. Tuż koło gmachu parlmentu wystawiono Cromwellowi pomnik — i stoi tam z twarzą dumną i pewną siebie, spoglądając — na Ryszarda Lwie Serce, feudalnego monarchę i nieledwie błędnego rycerza...

Weszliśmy w drugą fazę pośmiertnych dziejów Cromwella. Teraz wielkość przyznawali mu wszyscy, lecz nie było zgody co do jego charakteru. I rzeczywiście badacz stawał tu oko w oko z zagadką nielada. Cromwell wybił się jako fanatyczny zwolennik parlamentaryzmu i obrońca konstytucji. Potem rządził absolutnie przy pomocy wojska i rozpędził trzy parlamenty. Był zwolennikiem hierarchji społecznej, a musiał opierać się na niższych klasach. Był za utrzymaniem monarchji, a popełnił królobójstwo. Z tych powodów przylgnęła do niego opinja obłudnika, który swą niepohamowaną niczem ambicję pokrywał głoszonemi nieszczerze hasłami.

BUCHAN

Obecnie wyszły dwa obszerne dzieła poświęcone Cromwellowi, napisane przez ludzi odmiennych przekonań. Oba przeczą utartej opinji, dochodząc mniej więcej do tego samego rezultatu. Autorami są szkocki protestant John Buchan, znany dotychczas głównie jako krytyk literacki, i francuskiego pochodzenia katolik Hilarie Belloc, autor szkiców, powieści, poezyj i historyk raczej z zamiłowania, niż z zawodu. W jednej i w drugiej książce natrafiamy na próbę rehabilitacji charakteru Cromwella. Tu i tam przedstawiony on jest jako człowiek, działający w imię pewnych przekonań i idei, którego okoliczności żelazną logiką wypadków zmuszały raz po raz do działania wbrew własnej chęci.

Oto, co mówi Buchan:

Paradoks... jest najgłębszą treścią jego charakteru i kolei jego życia. Jak Pompejusz, był **suarum legum auctor ac subversor;** zwolennik prawa, musiał często popełniać bezprawia; człowiek nawskroś cywilny, musiał władzę swą utrzymywać mieczem; z namiętnością budowania spełniał przeważnie zadanie burzenia; najskrupulatniejszy z ludzi, musiał kolczastemi podkowami deptać skrupuły własne i innych; pełen czułości, musiał wiecznie zdobywać się na twarde serce; najbardziej angielska z naszych większych postaci, przez całe życie przeciwstawiał się większości Anglików.

Jeżeli jednak Cromwell był „najbardziej angielskim" z wielkich Anglików, zawdzięczał to jedynie atmosferze, otoczeniu i wychowaniu, a nie krwi. Buchan podaje prawie nieznany fakt, że był on z pochodzenia Walijczykiem i pierwotne rodowe nazwisko brzmiało Williams. Jak Tudorowie i jak... Lloyd George.

Dzieło Buchana przedstawia żywot Cromwella na rozległem tle jego czasów. Autor oparł się na gruntownem studjum źródeł i niejednego można się od niego nauczyć. Między innemi spotykamy u niego szczegółowe, a dokładne opisy bitew, które posłużyć mogą do sprostowania pewnych mylnych pojęć o wojnie domowej. Wigowie i liberali, którzy pisali historję, przemilczali zazwyczaj przewagę liczebną wojsk parlamentu, wywołując wrażenie, że religijny fanatyzm purytanów brał górę nad rycerskim duchem wojsk królewskich. Tymczasem trzeba pamiętać, że stronnictwo parlamentarne miało w ręku stolicę i wogóle bogatsze południe, a także większą część portów i flotę. Rozporządzając zasobami wszelkiego rodzaju, wysyłało w pole coraz nowe siły, podczas gdy królowi coraz trudniej było zapełniać luki. W trzech ostatnich bitwach, które rozstrzygnęły wojnę, rojaliści walczyli z podwójna przewagą.

BELLOC

Książka Belloc'a góruje nad ogłoszoną przez Buchana stylistycznem wykończeniem. Niedarmo Rupert Brooke, zapewne największy poeta angielski XX wieku (przedwcześnie zmarły jako żołnierz podczas wojny światowej), powiedział, że niema równego Belloc'owi żyjącego prozaika angielskiego. A pod jasnemi, harmonijnemi okresami kryje się treść bynajmniej nie tuzinkowa.

Nie sam charakter Cromwella stanowi dla Belloc'a główny problem. Autor zajmuje się przedewszystkiem jego strategją, dowodząc, że protektor był twórcą nowej taktyki, szczególnie w zakresie użycia kawalerji. Zwalnia go od zarzutu samolubnej żądzy władzy, górującej nad wszelkiemi innemi uczuciami. Cromwell służył idei, której była obawa przed reakcją katolicką.

Podręczniki historji, z których uczą w szkołach angielskich, traktują sprawę reformacji powierzchownie, rzec nawet można, fałszywie. Wszczepiają przekonanie, że Anglja zmieniła posłusznie religję, gdy Henryk VIII. wbrew woli papieża odepchnął Katarzynę Aragońską i poślubił Annę Boleyn. Tak bynajmniej nie było. Przyszła reakcja katolicka za Marji, potem Elżbieta przechyliła się na stronę reformacji. Lecz i wtedy jeszcze połowa narodu trwała przy dawnej wierze, a i anglikanizm był właściwie do niej bardzo zbliżony. To też ustawicznie pojawiało się ze strony prawdziwych protestantów żądanie, aby „dokończyć reformacji". Wojna z Hiszpanją, stojącą na czele obozu katolickiego, przyczyniła się potężnie do wzrostu i wzmocnienia się protestantyzmu. Lecz i wtedy jeszcze walka nie była rozstrzygnięta. Dopiero wojna domowa miała ją rozstrzygnąć — tak jak wojna trzydziestoletnia w Niemczech.

Cromwell walczył tedy przeciw katolicyzmowi — i wygrał. Równocześnie jednak był nieświadomem narzędziem w rękach historji. Zadał śmiertelny cios monarchji, która wprawdzie powróciła po jego śmierci, lecz już pozbawiona dawnego nimbu, osłabiona i skazana na stopniową utratę istotnej treści. Ustaliła się oligarchja wigów, w stosunkach ekonomicznych zatrjumfował nad feudalną szlachtą nowoczesny kapitalizm. Gdyby Cromwell był zdawał sobie sprawę, ku czemu prowadzi Anglję, byłby niewątpliwie cofnął się ze zgrozą przed konsekwencjami swych czynów.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Rewolucja francuska w powieści

Wielkie momenty dziejowe zawsze znajdywały swe odbicie w literaturze. Tak przełomowy i decydujący w dziejach nietylko Francji, ale całej społeczno-politycznej kultury europejskiej moment, jak wielka rewolucja francuska, nie mógł nie odbić się głośnem echem w literaturze pięknej na przestrzeni całych dziesięcioleci i u wszystkich niemal narodów.

Olbrzymią ilość powieści na temat rewolucji znajdziemy przedewszystkiem — co jest rzeczą zrozumiałą — w literaturze francuskiej. Żaden wybitny beletrysta francuski nie mógł przejść obok tej epoki obojętnie, — bez względu na to, czy będzie to powieściopisarz historyczny, czy też taki, który do przeszłości — jako do tematu literackiego — odnosił się niechętnie, a nawet z pogardą, nie mógł jednak przejść obojętnie mimo zjawiska rewolucji i jej ludzi. Byłoby rzeczą niemożliwą pobieżne nawet omówienie wszystkich francuskich powieści historycznych z okresu wielkiej rewolucji, zastanówmy się więc tylko nad najbardziej popularnemi, niegdyś bardzo głośnemi, a mającemi i to jeszcze znaczenie, że wyszły z pod pióra znakomitych pisarzy, zdobywających triumfy przeważnie na innych polach literackich.

Pierwszy powieściopisarz francuski w nowoczesnym stylu, bożyszcze romantyzmu, nietylko francuskiego, twórca romantyczno-historycznych tragedyj, autor „Nędzników" i „Notre Dame de Paris" — Victor Hugo — gdy chodzi o rewolucję francuską — całą swą sympatją darzył obóz jakobiński, obóz triumfującej rewolucji, która go, — co jest zupełnie zrozumiałe w epoce wzmocnienia się uczuć narodowych w czasach romantyzmu, — porywała przedewszystkiem chwałą oręża francuskiego, niosącego hasła wolności, równości i braterstwa daleko poza granice dawnego królestwa Burbonów. W powieści „Rok dziewięćdziesiąty trzeci" i w Victorze Hugo teror jakobiński budzi dreszcz zgrozy, z

drugiej jednak strony nie może autor zdobyć się na potępienie wojującego jakobinizmu.

Dziś powieść ta (w przeciwieństwie do „Człowieka śmiechu") robi wrażenie nużącej, a nawet nudnej, w dodatku czytelnika dzisiejszego razi, a nawet irytuje koturnowość i patos, cechujące „Rok 93". Jak u wszystkich walter-scottystów, wypadki naprawdę dziejowe i wielkie postacie historyczne usunięte są na plan dalszy, bohaterami zaś są ludzie fikcyjni, będący jednak uosobieniem swojej epoki, czy grupy społecznej, do której należą. Nie trzeba dodawać, że szlachetność tych bohaterów nie ulega ani na jednej stronie powieści najmniejszej wątpliwości. Należy zwrócić uwagę, że z tej to powieści bierze początek znana historja z dowódcą, który żołnierza — za niespełnienie rozkazu, zmazane potem bohaterstwem — skazuje na rozstrzelanie, dekorując go uprzednio orderem i salutując jego czyn bohaterski.

Szeroki, barwny i żywy obraz ancien-reżimu w okresie upadku i dziejów rewolucji aż do szczytowego nasilenia teroru roztacza Aleksander Dumas — ojciec w olbrzymim, wielotomowym cyklu powieściowym, którego bohaterem jest słynny hrabia Cagliostro (Józef Balsamo). Cykl ten, obejmujący pięć powieści (niektóre z nich po kilkanaście tomów): „Pamiętniki lekarza", „Naszyjnik królowej", „Anioł Pitou" i „Kawaler de Maison-Rouge" — daje bardzo szczegółowy przegląd wszystkiego, co się działo we Francji w latach 1775—1793. Przed oczyma czytelnika przesuwa się niezliczona ilość osób, znanych z historji — wszystkie te postacie ożywają, przestają być tylko nazwiskami z podręcznika dziejów nowożytnych.

Pisane feljetonowo, w pośpiechu powieści Dumasa mało posiadają wartości artystycznej, chwilami robią nawet wrażenie tandety literackiej — zato ich wartość beletrystyczna jest ogromna. Napięcie, dynamika akcji, żywość opowiadania, barwność charakterów, niesłabnące ani na chwilę przez cały ogrom tomów, nietylko pochłaniają czytelnika, tak, że bierze ciągle tom po tomie, ale wbrew jego woli nieraz — wraz z sensacyjną fabułą nasycają go takim ogromem materjału historycznego z epoki rewolucji francuskiej, jakiegoby nigdy nie zdobył w szkole, a nawet i nie pragnął wcale zdobyć.

Niewątpliwie dziś, przy dzisiejszym stanie wiedzy, historyczna strona powieści Dumasa przeważnie staje się anachronizmem, zasadniczo jednak charakterystyki wielkich aktorów w wielkim dramacie rewolucji nakreślone są tak świetnie, tak się wciskają w pamięć i świadomość, że rozstawanie się z niemi pod wpływem autorytetu ostatnich wyników badań historycznych sprawić może ból prawdziwy.

Zupełnie nieoczekiwaną i w swoim rodzaju niezwykłą (gdy chodzi o danego autora) jest powieść Anatola France'a „Gdy bogowie pragną". Trudno wprost uwierzyć, że to dzieło wyszło z pod pióra autora „Gospody pod Królową Gęsią Nóżką" czy „Buntu Aniołów". Bohater powieści — Ewaryst Gamelin, entuzjasta, fanatyk, nieomal mistyk rewolucji i jej groźnego, ale koniecznego, zbawczego (!) narzędzia — teroru w niczem nie przypomina ani Sylwestra Bonnard, ani księdza Coignard, ani nawet pana d'Anquetille.

„Gdy bogowie pragną" zdumiewa bogactwem szczegółów archeologicznych, głęboką znajomością epoki, okazało się jednak, że świetny znawca książek i starożytności potrafi być znawca dusz ludzkich w zasięgu ducha pewnej epoki, a i samą epokę potrafi odtworzyć zakomicie. Ale i w tej powieści łatwo poznamy prawdziwego France'a: typy ojca Bonifacego i dworaka-ateisty, ich dyskusje o życiu, śmierci, Bogu i Przeznaczeniu są bliźniaczo podobne do dysput, prowadzonych w gospodzie pod Królową Gęsią Nóżką. I jak tam, tak i tu nad wszystkiem unosi się atmosfera największej mądrości, której źródłem i celem jest miłość człowieka.

W literaturze angielskiej na uwagę zasługuje przedewszystkiem Dickensa „Powieść o dwu miastach". Zdawałoby się, że powieść odtwarzająca wstrząsające dzieje teroru, pokaże nam jakiegoś nowego, innego Dickensa, niż ten, którego kochamy za „Noc wigilijną", za wzruszające dzieje Davida Copperfielda i Olivera Twista i którego tak lubimy za „Klub Pickwicka". A przecież i w „Powieści o dwu miastach" mamy z jednej strony wspaniały, pogodnie rozbrzmiewający nawet w wirze burzy dziejowej, humor dickensowski, z drugiej zaś nadewszystko wynoszącą miłość człowieka, każącą człowiekowi samotnemu oddać swe życie za innego, którego z życiem wiąże rodzina; osłodą zaś ginącego (Anglika) jest wizja świetnej przyszłości ojczyzny, której potęga będzie tem większa, im więcej będzie miała zdolnych do poświęceń obywateli.

W literaturze polskiej o rewolucję francuską zahacza Reymont w swym „Roku 1794". Autor zaś „Ostatnich Rzymian" i „Tiary i korony" — Teodor Jeske-Choiński poświęcił wielkiemu tematowi całą trylogię: „Błyskawice", „Jakobini", „Teror".

Rewolucja rosyjska siłą rzeczy per analogiam musiała zainteresować pisarzy rosyjskich dziejami swej poprzedniczki z końca w. XVIII. W literaturze sowieckiej Guber w powieści „Miesiąc mgieł" — bardzo objektywnie, zdala od wszelkich kryterjów społeczno-politycznych, odtworzył obraz rozkładania się porządku rewolucyjnego i objęcia władzy przez Napoleona. Sylwetki Bonapartego, jego braci, członków dyrektorjatu, Bernadotte'a, są wprost świetne, z wielkiem napięciem dramatycznem przedstawione też zostało historyczne posiedzenie 19-go brumaire'a.

Szapowalenko w „Roku 1801" w bardzo nieudolny sposób stara się zaktualizować walkę powstańców rojalistycznych z Dyrektorjatem, nadając jej kształty rosyjskiej wojny domowej z lat 1918—20.

Na emigracji M. A. Ałdanow szereg wstrząsających momentów historycznych i wspaniałą galerję wielkich postaci wskrzesił z ogromnym talentem beletrystycznym i dramatycznym w „9 thermidora", „Djabelskim moście" i „Spisku". W jego powieściach szczególnie silnie uderza (artystycznie dość szczęśliwie i bez przesady przeprowadzona) analogja między dwiema rewolucjami: francuską i rosyjską.

p. t.

Wycieczka na Majorkę

Po przybyciu na wyspę Majorkę — królowę Wysp Balearskich — pierwszą myślą moją była wycieczka-pielgrzymka do „Cartuja de Valldemosa", czyli do byłego klasztoru Kartuzów w miejscowości Valldemosa, gdzie Chopin z Georges Sand i jej dziećmi spędził pamiętną zimę 1838 r. i skąd dwa lata przedtem, w 1836, wygnano mnichów. Dzisiaj, trzy zajmowane przez genjalnego muzyka i wielką francuską autorkę cele klasztorne, odświeżone, zamienione zostały na małe muzeum, poświęcone pamięci tych dwojga nieśmiertelnych przyjaciół. Jest ono celem licznych wycieczek napływających na Majorkę z wszystkich stron świata turystów, o czem świadczy księga, do której wpisują swe nazwiska zwiedzający muzeum goście.

Z rzadką uprzejmością, los, na wstępie mojego tutaj pobytu, podsunął mi sam okazję do pożądanej wycieczki za pośrednictwem mego hotelarza, który zaproponował przyłączenie się do objażdżki po wyspie automobilem, obejmującej również Valldemosę, gdyż właśnie brakowało szóstej osoby do utworzenia kompletu. Przyjmuję skwapliwie, tembardziej, że kolej, którą szczyci się Majorka, nie dojeżdża do Valldemosy, a wycieczki autocarami nie zdarzają się codziennie.



Cela George Sand

Chociaż pogoda niepewna, wyruszamy z Palmy około godziny 14-tej, kierując się ku północnej stronie wyspy (ma ona w swych najszerszych wymiarach: 76 klm. od północy ku południowi i 99 klm, od zachodu ku wschodowi). Rwiemy szybko naprzód dzięki doskonałej maszynie, szoferowi i drodze, zrazu przez płaską część wyspy, długo ciągnącemi się z obu stron drogi plantacjami drzew oliwkowych, o dziwacznie, niesamowicie, czasami jakgdyby rozpacznie poskręcanych pniach, o tych cienkich, subtelnych w rysunku gałęziach, i z tem prześlicznem, szaro-zielonkawo-srebrnie mieniącem się listowiem, tak harmonizującem z szafirem południowego nieba. Lecz nie jest ono dzisiaj, niestety, szafirowem; pomimo to oceniamy całą piękność krajobrazu. Szofer nasz, typowy, zakochany w swej wyspie tubylec, szczerząc w uśmiechu białe zęby i przymrużając z lubością czarne, słoneczne oczy na każdy nasz objaw zachwytu, zwraca naszą uwagę na rozłożysty i nieprawdopodobnie poskręcany gruby pień oliwkowego drzewa, mówiąc z dumą: „olivo milenario"! (tysiącletnie drzewo oliwne). Patrzymy na prastary, jak gdyby ze zmurszałego kamienia, lub z zastygłych kłębów szarej lawy wyciosany, w wielu miejscach podziurawiony pień, który jednak żyje, rodzi liście i owoce...

Po oliwkowych, ciągną się długim szeregiem plantacje migdałowe, w których właśnie odbywa się zbiórka migdałów. Kupujemy pokaźną ich ilość za jednego „peso", dowiadujemy się, że migdały to bodaj najcenniejszy i najwięcej przynoszący produkt majorczański, i pędzimy dalej, w coraz bardziej zasnuwający się stalowemi chmurami widnokrąg. Droga częstemi zakrętami zaczyna piąć się w górę i wnet Juanito wskazuje na zabudowany i wieżą kościelną strzelający szczyt jednego z licznych, widnych w perspektywie rozległej panoramy, wzgórz.

Valldemosa! Rozróżniamy wydłużony budynek klasztorny i skupione dookoła niego domy, przyozdobione tu i ówdzie kiściami palm i innej zieleni..

Zwiedzamy najpierw kościół klasztorny, niezbyt ciekawą, neo-klasyczna budowlę z końca XVIII-go i początku XIX-go wieku, tak, jak i obecny budynek klasztorny i słuchamy, że „Cartuha de Valldemosa" została „fundada" w 1399 r. przez „Rey don Martin de Aragon", który darował pałac swój mnichom, lecz że z niego zaledwie dzisiaj pozostały szczątki — szkoda! Każą nam jeszcze oglądać, co prawda o wiele ciekawszą, zakrystję, podczas kiedy pilno mi do przybytku Chopina!

Prowadzi nas do niego korytarz klasztorny, a przyjmują u wejścia dwie kobiety, majorczanki, stara i młoda, stróżki i ciceronki muzeum. Łamaną francuszczyzną mówią nam, że oto jesteśmy w celi Georges Sand i prowadzą, na prawo, do oddzielonej małym korytarzykiem celi jej dzieci; ale gdzie cela Chopina? Znajduje się ona na lewo od celi Georges Sand, lecz że wszystkie trzy cele mają drzwi wychodzące do tarasowego ogródka, przepełnionego, rosnącem w gruncie, w szeregach wazoników i pnącem się kwieciem, krzewami, drzewkami owocowemi, wchodzimy przezeń, pokropieni deszczem do celi Chopina. Nieco dłuższy niż szerszy, 4—5-metrowy pokój; odrazu wpada w oczy naprzeciw drzwi wchodowych stojące pianino.

...„Tak jest, autentyczne pianino Chopina, grywał na niem przez cały czas pobytu na Majorce, gdyż duży, zamówiony przez niego fortepian doszedł zapóźno z Palmy".

Patrzę długo na pożółkłe klawisze... i na pożółkłe, oprawne w ramki i półkolem nad pianinem zawieszone autografy kompozycyj ułożonych tutaj — delikatnie zaznaczone główki nut o długich, pajęczych nóżkach...

Na pianinie mały biust Chopina, jakieś stare skrzypce, wazonik z zeschłemi kwiatami.

Tuż obok, na lewo, wisi obraz przedstawiający duży parowiec: „To na nim przyjechali i wyjechali z Majorki Chopin i Georges Sand, jeden z pierwszych parowców wogóle".

Spostrzegam mały kominek, taki jakiś wydający się bezsilny wobec grubych, zapewne wilgotnych murów klasztornych, które miał ogrzewać, w dnie słotne, jak dzisiejszy, tylko nie letnie, lecz zimowe. Jakże Mu tu czasami musiało być zimno przy tym lilipucim kominku — a bardziej jeszcze może przy lilipucim, zimnem sercu towarzyszki, maskowanem długo, zbyt długo, słowami dyktowanemi bujną, egzaltowaną wyobraźnią literacką i zmysłami. Gdy spoglądam na załzawiony ogródek, — brzmią mi w uszach skarżące się bezradnym bólem osamotnienia, dźwięki. Kierując się ku niemu, zauważam małą, oszkloną szafkę z lalką ubraną à la 1830:

„Dar wnuczki Georges Sand, suknia lalki wykrojona jest z sukni, i uszyta na wzór tej, którą babka jej nosiła tutaj".

Stoi jeszcze w celi Chopina duży, nowy, lśniący fortepian, służący do corocznych festival'ów chopenowskich. — Czynię szybką rewję zawieszonych nad nim fotografij mistrzów fortepianu, którzy w festivalach tych brali udział: —

spostrzegam Ravel'a, Cortot, Rubinsteina, Casellę; ale szkoda czasu, gdyż jeszcze muszę sobie dobrze wryć w pamięć widok z ogródka, który przecież taki sam być musiał sto lat temu... Pomimo deszczu, który rozpadał się na dobre, śpieszę jeszcze aż do wylotu ogródkowej platformy i patrzę na ciemny wąwóz górski z piętrzącemi się na prawo i lewo szczytami wzgórz, i otwierający się na perspektywę dalszych, szafirowych gór, — tak mało tu siedzib ludzkich, wąwóz wydaje się prawie dziki, gdyby nie terasowo sadzone tu i ówdzie drzewa oliwne.

Czuję, że trzeba wracać — przebiegam jeszcze celę Georges Sand, która z pewnością nic niema wspólnego z celą, którą zamieszkiwała, jak również i celę dzieci — obie świeżo, gustownie odmalowane i urządzone meblami krajowemi; w celi dzieci przykuwa wzrok nieduży portret Chopina o wzruszającym wyrazie. Obok na etażerce, biust Georges Sand.

Kupując u wyjścia z muzeum nieuniknione kartki, czuję, że ciągnie mnie ktoś za rękaw: — to nasz szofer, patrzy na mnie z niemym wyrzutem w oczach i mówi najlepiej, jak umie po francusku: „Tous dans voiture"! Rzeczywiście, wszyscy moi towarzysze podróży siedzą już w automobilu o zapuszczonym dachu i czytam ten sam niemy wyrzut w ich oczach — przepraszam najpiękniej, jak umiem, bez wewnętrznego żalu doskonałego, ani nawet niedoskonałego, i ruszamy dalej.

Oglądamy jeszcze pod parasolami resztki ruin zamku Miramar, skąd widok nieporównany, a dzwonki uciekających przed nami owiec, dopełniają legendowego nastroju... Miramar, to potężna postać średniowiecznego mistyka-filozofa, błogosławionego Ramona Lull, który już w XIII. wieku założył tutaj właśnie, pod protektoratem ówczesnego króla Majorki Jaima II. swe słynne Collegium języków wschodnich — „Collegio de Lenguas Orientales", czyli poprostu pierwszą szkołę misjonarską świata chrześcijańskiego.

Zakupił tę połać wyspy i aż do Valldemosy prawie ciągnące się grunta, wielki wielbiciel Ramona Lull, który wskrzesił na Majorce kult tego ostatniego, austrjacki arcyksiążę Ludwik Salwator Habsburg. Osiedliwszy się na Majorce w drugiej połowie ubiegłego stulecia, zmarł na niej przed niedawnemi laty, ustanawiając swymi spadkobiercami kilka dawnych rodów majorczańskich, by ziemie w ich zostały rękach. To też pamięć jego czczoną jest i wielbioną przez mieszkańców wyspy; zbudował on również szereg dróg w tej górzystej jej części (szczyt Teix ma 1.084 m. wysokości), folwarków „finc", z pięknemi ogrodami, z których jeden w Alfabji zwiedzamy i wzniósł kaplicę na cześć Ramona Lull [1].

Pniemy się śmiałemi zakrętami coraz bardziej w górę, chwilami przechodzą nas ciarki, patrząc na przepaść pod naszemi stopami, ale Juanito zwraca ciągle naszą uwagę na dalsze widnokręgi rzeczywiście coraz rozleglejsze i wspanialsze, tembardziej, że deszcz ustaje i już z poza chmur przebłyskuje i złoci całą panoramę — słońce! Jakoż i humory nam się poprawiają, a w prawdziwy entuzjazm wprawia nas widok kilku rosnących opodal drogi, na samej krawędzi przepaści, drzewek cytrynowych, pokrytych złocistemi owocami, okapującemi brylantowemi kroplami niedawnego deszczu. Hiszpan nasz zatrzymuje wóz, schodzi i zaczyna energicznie zrywać cytryny — gdy wstrzymujemy go w szlachetnym zapale, odpowiada: „en Espana todos para todos Spanos" — (w Hiszpanji wszystko dla wszystkich Hiszpanów), a kiedy mu mimiką wyrażamy, że my Hiszpanami nie jesteśmy (w sześć osób przedstawialiśmy 5 narodowości, raczej północnych), odrzeka, że on jest Hiszpanem, a co jego, to i nasze! Poczem wyciąga okazały nóż, który mu zapewne okazyjnie służyć musi do osobistych porachunków, rozkrawuje cytryny i obdarowuje nas niemi szczodrze. Zwilżamy z rozkoszą, choć krzywiąc się trochę, zeschnięte pędem powietrza, wargi i podniebienia.



Cela Chopina.

A potem nastąpiła upajająca, niezapomniana powrotna jazda. Juanito śpieszy się widać, bierze z rozmachem nieustannie po sobie następujące zakręty staczającej się w dół drogi, tak, że daje nam to chwilami wrażenie jakiegoś zawrotnego karuzelu. Wicher ciepły, a taki świeży, ożywczy, i pachnący, jakże pachnący, chłoszcze nam twarze, tańczy z włosami jakąś wściekłą tarantellę (skapitulowaliśmy z kapeluszy, trzymając je oburącz na kolanach!). Dopiero co skąpane, a następnie przygrzane słońcem roślinność i drzewa, ślą nam ze stoków gór fale różnorodnych balsamów, niektóre tak silne, że aż odurzające. Wchłaniamy chciwie, z rozkoszą, te nie znane północnym nozdrzom naszym delicje powonienia i lecimy tak w złocistą, olbrzymią łuną zachodu, przez kraj z bajki, z przemożną radością życia w duszach.

Palma we wrześniu 1934 r.

TOURISTE

1) Błogosławiony Ramon Lull leży, pod ślicznym grobowcem, w katedrze palmeńskiej, jednej chyba z najpiękniejszych katedr na świecie.

Wojna na lwowskim ratuszu

Bohaterską odwagą, męstwem i krwią własną zdobył mieszczanin lwowski dla swego ukochanego miasta szlachectwo, którem obdarzył je dekret królewski z roku 1658.

Zasłużyło sobie rzetelnie patrjotyczne mieszczaństwo lwowskie na to zaszczytne odznaczenie! W ciężkich czasach wojen i oblężeń Lwowa przez hordy kozackie i tureckie, oni trwali niezłomnie na swym posterunku, własną piersią zagradzając drogę w głąb Rzeczypospolitej.

Gdy jednak ten „szary człowiek" świecił zawsze przykładem ofiarności i odwagi, — bogaci patrycjusze, a co gorsza, sami sławetni rajcowie i ławnicy dbali zazwyczaj więcej o własną skórę, uciekając z miasta, ilekroć zagrażało mu niebezpieczeństwo oblężenia.

Wprawdzie rada miejska uchwałą z dnia 17 sierpnia 1648 wyraźnie zabrania wszystkim mieszkańcom opuszczać miasto w razie grożącego oblężenia, a to „pod utratą czci i konfiskatą majątków"... ale uchwała ta rychło poszła w zapomnienie.

Po klęsce pod Piławcami, przed bitwą pod Beresteczkiem rajcowie miejscy pierwsi rzucają się do ucieczki, — ku niesłychanemu oburzeniu pozostałych bohaterskich mieszczan, domagających się surowej kary na „uieżdżających". Kończyło się jednak stale na pogróżkach. Kiedy niebezpieczeństwo minęło, — uchodźcy wracali; przed utratą czci i konfiskatą majątków zabezpieczali się, składając większe czy mniejsze ofiary pieniężne na rzecz wyniszczonego i zubożałego miasta.

Sprawa przybrała poważniejszy obrót dopiero w roku 1672, kiedy to, na wieść o upadku Kamieńca, we Lwowie wszystko rzuciło się do panicznej ucieczki, — a pierwszy, zły przykład dała znowu rada miejska, — z której pozostało zaledwie trzech rajców: powszechnie szanowany Bartłomiej Zimorowicz, Jan Gąsiorkowicz i Jan Sommer.

Wówczas to doszło do prawdziwej rewolty oburzonego mieszczaństwa lwowskiego, której historję znajdujemy w znakomitem dziele śp. Jana Ptaśnika pt. „Miasta i mieszczaństwo w dawnej Polsce".

Asumpt do tego dał sam Zimorowicz, który wiązany węzłami przyjaźni i pokrewieństwa z wieloma znakomitymi uchodźcami, ułatwiał im powrót do miasta i wprowadzał ich z powrotem w urzędowanie.

Oburzyło to nawet kolegów Zimorowicza w urzędzie, Gąsiorkowicza i Sommera, którzy z nim razem przetrwali mężnie całe oblężenie miasta przez Turków.

Widząc, że Zimorowicz uzurpuje rządy na ratuszu dla siebie i dla protegowanych przez niego uchodźców, — Gąsiorkowicz, w oparciu o zrewoltowanych mieszczan, oraz o większość ławy, tworzy drugi rząd „buntowniczy". I ratusz lwowski ogląda wówczas jedyne w jego historji widowisko: w zwykłej izbie radzieckiej urzęduje Zimorowicz wraz ze swą radą, złożoną z uchodźców, — na drugiem piętrze natomiast urzęduje Gąsiorkowicz w tzw. lonarji, czyli w izbie skarbowej, na czele swego rządu rewolucyjnego.

Stanowisko tego ostatniego było o tyle silniejsze, że miał on klucze od skarbca, ściągał podatki od mieszczan i wypłacał pensje służbie miejskiej, gdy tymczasem „uchodźcy" nie mieli żadnych źródeł dochodu.

Miał coprawda Zimorowicz — poza osobistą powagą i szacunkiem, jakiem się cieszył w mieście — jeszcze jeden potężny atut: reskrypt królewski, uspra wiedliwiający uchodźców, a nakazujący mieszczanom, by ich z powrotem do miasta przyjęli i zwrócili im skonfiskowane dobra i urzędy. Uparty jednak Gąsiorkowicz nie chciał reskryptu tego wogóle nawet czytać, a temmniej treści jego przyjąć do wiadomości.

Rozpoczęła się tedy wojna, w której zbuntowana rada miała od samego początku pozycję dużo silniejszą, zwłaszcza, że stało za nią całe mieszczaństwo lwowskie. Nie pomagały groźby, protesty i skargi, — nie pomagały i prośby oraz próby pojednania, podejmowane przez Zimorowicza kilkakrotnie.

Dwie rady miejskie urzędowały obok siebie, wnosząc zupełną anarchję w życie miasta. Zimorowicz apeluje do kancelarji królewskiej o pomoc i interwencję. Reskryptem z dnia 20 stycznia 1673 nakazuje król Michał Korybut ponownie przywrócić uchodźców do ich praw i majątków, w miesiąc później poleca przeprowadzić nowe wybory do rady.

I tych reskryptów jednak Gąsiorkowicz nie respektuje, — a kiedy delegat Zimorowicza domaga się wydania kluczy od skarbca dla wyjęcia „requisitorum ad actum electionis spectantium"., posiadacz tych kluczy, a adherent Gąsiorkowicza, rajca Sommer, stosuje metodę „biernego oporu",... „lekarstwem się wymawiając".

Nie pomogła nawet wysunięta przez „rząd uchodźców" propozycja złożenia mieszczanom kwoty 10 tysięcy talarów na koszty poniesione w czasie oblężenia.

W sprawę wdaje się wreszcie osobiście król Michał, zapowiadając wysłanie do Lwowa specjalnej komisji z nieograniczonemi pełnomocnictwami.

Faktycznie też z końcem lipca 1673 zjeżdża do Lwowa wielki hetman Jan Sobieski i dnia 29 lipca wydaje specjalny dekret, rozgrzeszający „uchodźców". W dekrecie tym zaznacza, że w razie niebezpieczeństwa oblężenia mogą opuszczać miasto starcy, kobiety, dzieci i „viri togati", (a więc dostojnicy miejscy).

Dekret ten przynosi wreszcie uspokojenie. „Buntownicy" skapitulowali, — a jedynym rezultatem tego blisko dziewięciomiesięcznego zatargu były tylko jeszcze dalsze obniżenie powagi i znaczenia sławetnej rady miejskiej. (R.)

WŚRÓD WYDAWNICTW.

Choromański po rumuńsku

Wkrótce ukaże się nakładem jednej z firm wydawniczych w Bukareszcie książka znanego powieściopisarza Choromańskiego p. t. „Zazdrość i medycyna".

Przekładu dokonał prof. slawistyki Uniwersytetu Karola w Czerniowcach, dr. George Naudisz.

„MUZEUM" ZESZ. IV. T. N. S. W. okręgu lwowskiego wydaje czasopismo pedagogiczne „Muzeum" poświęcone sprawom wychowania, nauczania i organizacji szkolnictwa.

Czwarty numer tego pożytecznego wydawnictwa przynosi szereg interesujących artykułów i rozpraw. A więc „Prywatne szkolnictwo średnie w Polsce" p. Maksymiljana Tazbira, „Prywatne szkolnictwo średnie w Anglji i Niemczech" dr. W. Gottlieba; dr. W. Olszewski pisze o „Prywatnem szkolnictwie średniem we Francji" dr. R. Frycz „Fizyka i chemja w ujęciu nowych programów". Dr. Ida Kotowa w artykule „O rewizję programów szkoły żeńskiej", rozpatruje kwestję zreformowanej nauki historji.

Cena kwartalnika wynosi 2.50 zł.

Biecz miasto starych pamiątek

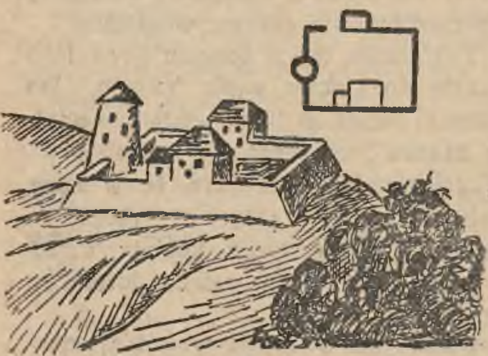
Z pośród licznych miast, które za czasów dawnej Rzeczpospolitej wybitną odgrywały rolę, a dziś spadły do poziomu ubogich mieścin, Biecz najgodniejszy jest bezwątpienia, by przypomnieć jego świetną historję. Niegdyś stolica „ziemi bieckiej", siedziba starostwa grodowego i wyższego sądu prawa magdeburskiego (dla sołtysów i wójtów) trudna do zdobycia warownia, zasługiwał w całej pełni na miano „małego Krakowa" (parva Cracovia) jak go czasami dawni autorowie nazywają.

Biecz jest miastem starożytnem, którego początki giną w pomroce dziejów a miejsce faktów i dat historycznych zastępuje podanie o zbójniku Beczu, który pochwycony i na śmierć skazany wyprosił sobie darowanie życia obietnicą założenia miasta ¹)

Pierwsze karty uwierzytelnionej historji Biecza łączą się z wypadkami dla miasta bardzo smutnemi: w roku 1125 zostaje Biecz zdobyty przez księcia przemyskiego, w roku 1240 złupiony przez Tatarów i od tego czasu niemal bez przerwy niepokojony bywa przez wrogów przeróżnych, którym jednak na ogół zwycięsko stawia czoło, jak na nadgraniczną warownię przystało.

Biecz był miastem królewskiem. Wprawdzie w roku 1302 Wacław król polski i czeski oddał go w zamian za wieś Kamienicę (późniejszy Nowy Sącz) biskupowi krakowskiemu Muskacie, ale ten nie długo cieszył się posiadaniem miasta, gdyż już w roku 1312 Łokietek odebrał go za karę z powodu ustawicznych intryg Muskaty. Odtąd aż do chwili upadku Rzeczpospolitej był Biecz w rękach królów polskich, którzy opiekowali się miastem za pośrednictwem starostów i doprowadzili miasto do prawdziwego rozkwitu.

Ogólnemu rozwojowi miasta sprzyjały też warunki geograficzne: położone niedaleko od węgierskiej granicy potrafiło od swych dostojnych właścicieli uzyskać liczne przywileje. dzięki którym wszystkie drogi handlowe przymusowo w Bieczu się krzyżowały, co zapewniało miastu dobrobyt i rozwój



Zameczek św. Jadwigi. Plan i rekonstrukcja.

ekonomiczny. Jest wówczas Biecz miastem bogatem, słynącem z rękodzieła, które zorganizowane było w jedenaście cechów a to: piekarzy. rzeźników szewców, krawców, kuśnierzy tkaczy, sukienników, płócienników, garncarzy, kowali pozatem cech „wielki" czyli mieszany, w którym zorganizowane były inne zawody, zbyt mało rozwinięte, by mogły tworzyć cech odrębny.

W roku 1450 Kazimierz Jagiellończyk zezwala miastu na założenie blichu do bielenia płótna, za co miasto ma wpłacać rocznie postawę (84 łokci) płótna bielonego.

W parze z rozwojem przemysłu idzie i rozwój handlu dzięki przywilejom zwalniającym Bieczan od niektórych opłat (np. cła w Wojniczu), ustanawiającym w mieście jarmarki i prawo składu.

Do ogólnego dobrobytu przyczynił się też niewątpliwie przywilej z roku 1569, w którym Zygmunt August na prośbę mieszczan zakazuje żydom nabywania dóbr dziedzicznych i osiedlania się w mieście, oraz sprzedawania towarów w czasie jarmarków w Bieczu i pod Bieczem. Już w roku 1583 skorzystali Bieczanie z dobroczynnego przywileju i wypędzili z miasta żyda, poborcę ceł.

W roku 1361 przenosi Kazimierz Wielki Biecz na prawo niemieckie (magdeburskie). Odtąd zarząd miasta spoczywa w ręku rady miejskiej wybranej z pośród miejscowego patrycjatu, na czele której stał dziedziczny wójt.

Rada zajmowała się sprawami wewnętrznemi miasta, przestrzeganiem porządku, nadzorem nad fortyfikacjami, przestrzegała zachowywania statutów cechowych, przepisów handlowych itp. do rady należał również zarząd majątkiem gminy, który był wcale znaczny (np. w XVI. w. własnością Biecza była wieś Męcina).

Drugą instytucją miejską był sąd ławniczy, który rozpatrywał sprawy między mieszczanami.

Ogólny nadzór nad samorządem oraz sądownictwo w sprawach gardłowych należało do starosty, który pełnił w mieście funkcję namiestnika królewskiego.

Biecz posiadał niegdyś wielkie znaczenie militarne. Pogranicze węgierskie w dawnych czasach było terenem ustawicznych walk, wystarczy wspomnieć napad Macieja Korwina, który w perzynę obrócił wiele wsi i miast Podkarpacia, a oprócz tego masę pomniejszych napadów o których historja wspomina tylko na marginesie.

Na straży niebezpiecznego odcinka stały drobne górskie zameczki jak Czorsztyn, Niedzica, Rytro, Żmigród, Odrzykoń Golesz, ale główna rolę w czasie obrony odegrać miały leżące w drugiej linji dwa grody sądecki i biecki. Podanie przypisuje fortyfikacje Biecza królowej Jadwidze, ale prawdopodobniejszem jest, że już Kazimierz Wielki otoczył miasto murami.

Fortyfikacje Biecza były wspaniałe: prócz murów wysokich, wału i fosy wypełnionej wodą z rzeczki Binarówki, szesnaście baszt broniło miasta, w murach było dwie bramy wjazdowe i sześć furtek dla pieszych przy każdej z nich mostek zwodzony i strażnica.

Według ordynacji Zygmunta Starego z roku 1515, w nocy mają być bramy zamknięte a otworzyć je wolno tylko staroście i to w ważnym wypadku lub podstaroście (ale tylko furtkę) pozatem nawet służbie grodzkiej otwierać nie wolno. Ostrożności te były tembardziej uzasadnione, że w pobliskich górach ukrywały się liczne bandy opryszków tzw. Beskidników, którzy mogli podstępnie wedrzeć się do miasta i złupić je.

Okres ustawicznego pogotowia wojennego przeszedł Biecz z początkiem XVII. w., kiedy to spodziewano się napadu Betlem Gaborra, w roku 1618 nakazał król w obawie napadu zarąbać ścieżki pograniczne, w następnym roku pod miasto zbliżają się Kozacy, a w r. 1622 trębacz czuwa na wieży ratuszowej, gdyż grozi nadejście wojska ks. siedmiogrodzkiego. Stan wojenny skończył się jednak w tymże roku, gdy cesarz austrjacki zawarł pokój z Betlem Gaborym.

* * *

Równocześnie z ogólnym rozwojem miasta nadąża rozwój kulturalny i społeczny. Miasto posiada szkoły — tzw. akademicką: jest to jak gdyby kolonja uniwersytetu krakowskiego, który tam wysyła swych bakałarzy. Dostęp do nauk wyższych ułatwia fundacja Marcina Kromera, który od roku 1568 zapewnia dwu uczniom z Biecza utrzymanie w czasie studjów na uniwersytecie krakowskim.

Ma Biecz kilka kościołów. Klasztor Norbertanek przy kościele Św. Barbary, ma wreszcie szpital Św. Ducha. założony przez mieszczan w roku 1395, który królowa Jadwiga hojnie obdarowała.

Z czasem jednak to bogate i świetnie zapowiadające się miasto zahamowało się w swoim rozwoju, a później staczając się po równi pochyłej wpadło w nędzę w jakiej do dziś jest jeszcze pogrążone. Powody upadku Biecza są te same, które spowodowały zubożenie wszystkich miast polskich w XVII. w. Łupiony przez przeciągające wojska swoje i obce, gnębiony przez starostów, którzy niewiele dbali o dobro królewskie zaczął ekonomicznie podupadać i wyludniać się. W roku 1662 Biecz liczył tylko 462 mieszkańców.

Równocześnie zesłabł duch wojenny u mieszczan komisje królewskie znajdowały w „działach, hakownicach, ołowiu i prochach braki wielkie", a w murach sami mieszkańcy dłubali dziury ażeby „porobić ujścia dla tranzytów".

Nic dziwnego, że w takich warunkach Biecz nie mógł już stawić skutecznie czoła wrogowi, w roku 1637 splądrowali miasto Szwedzi, później



Baszta w Bieczu.

(rok 1657) Rakoczy a w roku 1709 nawiedziła miasto straszna zaraza, z której według przesadnych wieści tylko dwoje ludzi miało ujść z życiem. W r. 1770 kropkę nad i położyli Moskale, którzy w pogoni za Konfederatami złupili Biecz doszczętnie. W roku 1812 według opisu „cyrkułu jasielskiego" (w Gazecie Lwowskiej) mieszczanie biecy są bardzo ubodzy, mieszkają w drewnianych domach, a z dawnego przemysłu zostały tylko blichy na Zasławiu i przemysł garncarski.

Od ostatecznej ruiny powstrzymują Bieczan liczne „fundusze": prócz wspomnianego już przezemnie stypendjum Kromera istnieje fundacja królowej Jadwigi z r. 1395 zapewniająca 40 ubogim mieszczanom utrzymanie w szpitalu, fundacja Ks. Bochniewicza (z roku 1808), która nakazywała procenty od 60.000 koron rozdzielać między 50 wylosowanych mieszczan Krzemińskiego dająca niezamożnym dziewczętom wiano w wysokości 21 reńskich i Tumidajskiego (2 stypendia po 80 kor. dla uczących się Bieczan).

Jednem słowem Bieczanie, choć osobiście ubodzy w każdej niebezpieczniejszej sytuacji życiowej mieli oparcie o jakiś zbawczy „fundusz", co podobno miało ich w tem większem pogrążyć lenistwie tak, że powstało nawet przysłowie „rozpuścił się jak dziadowski Biecz".

Po wojnie skutkiem dewaluacji niektóre fundacje wielce ucierpiały, inne zaś szczególnie oparte o grunta, zachowały pełną wartość, ponieważ jednak uprawnieni do korzystania z nich są tylko mieszkańcy Biecza (a więc w obrębie dawnych murów) jest to zapewne jedyne w Polsce miasto, którego mury mają dziś nie tylko zabytkowe znaczenie.

Ten szczególny przywilej mieszkańców „miasta" wywołuje silne antagonizmy z ominiętemi przez fundacje „przedmieszczanami".

* * *

Ślady dawnej świetności znajdujemy w licznych zabytkach przeszłości, jakie do dziś ostały się jeszcze w Bieczu i jego najbliższej odległości. Według chronologji pierwszeństwo oddać należy ruinom starego zameczku, które w roku 1877 odkopano na jednym z pagórków w pobliżu miasta. Tradycja nazwała to zameczkiem Św. Jadwigi, ale prawdopodobnie jest to budowla znacznie starsza, przy której kiedyś Biecz mógł powstać jako osada służebna.

W samym Bieczu prócz murów obronnych, które potężnemi szczerbami rysują tu i ówdzie owal dawnego miasta, widać resztki okrągłych fundamentów zburzonych baszt i zasypanych fos. Z całych fortyfikacji pozostała już dziś w stanie nienaruszonym jedna tylko baszta z przylegającą do niej kamienicą (strażnicą?).

Naprzeciw baszty po przeciwnej stronie ulicy stoi na górce fara biecka. Kościół to piękny, stary, zbudowany w stylu gotyckim, wewnątrz prześliczne prezbiterjum, z rzeźbami Wita Stwosza w głównym ołtarzu i pięknemi rzeźbionemi stallami po bokach.

Późniejsze od reszty budowli są cztery kaplice, z których najpiękniejsze są Sułkowskich, Wielopolskich i Kromera. w kaplicach, jak i pod nawami kościoła znajdują się krypty z resztkami trumien.

W pobliżu na krańcach dziedzińca kościelnego stoi wieża samotna. — resztka kościoła św. Barbary, który już nie istnieje. Jak wynika z dokumentów, było dawniej jeszcze kilka kościołów z których dziś już ani śladu nie pozostało (np. kościół Św. Ducha, Św. Jadwigi).

Przy ulicy wiodącej od fary do rynku stoi dom narożny, zwracający uwagę okratowaniem okien i starożytnym wyglądem, jest to tzw. Kromerówka, dom w którym urodził się i mieszkał Marcin Kromer, sławny polski kronikarz.

Ponad całem miasteczkiem króluje wysoka wieża ratuszowa, która niegdyś nakryta była barokową kopułą, ale po ostatnim pożarze zastąpiono ją płaskim dachem. U podnóża wieży tuli się skromny jednopiętrowy ratusz, dzięki licznym a niedbałym przeróbkom pozbawiony wszelkiego stylu, przypominający ubogą kamieniczkę czynszową.

Na południowo - wschodnim krańcu dawnego miasta, tuż przy murach znajduje się (do dziś zamieszkały) szpital Św. Ducha. Starożytność budowli podkreślają gotyckie obramowania drzwi i łukowate sklepienia, pozatem również ucierpiał on od niedbałych przeróbek.

Niedaleko szpitala, ale już za murami miasta, znajdował się zamek królewski z czasów Jagiellonów. Nie konserwowany uległ zniszczeniu tak, że w roku 1642 był już ruiną Wtedy to starosta biecki Jan Wielopolski odbudował go i sprowadził doń zakon Reformatów, którzy mieli zwalczać szerzący się w okolicy arjanizm. Z nieistniejących już zabytków o których jednak warto przypomnieć, wymienię dom grodowy, budynek, którego ruiny istniały jeszcze



Ratusz w Bieczu.

z końcem ubiegłego stulecia. Niegdyś rezydował tam sąd starościński w sprawach gardłowych, w pobliżu znajdowała się baszta — więzienie z podziemnemi kazamatami. gdzie według podania miała być jedyna w Polsce szkoła katów.

Egzekucje odbywały się wówczas publicznie. Na ratuszu był specjalny dzwon zwołujący mieszkańców na miejsce kaźni, dzisiaj jeszcze wskazują na wzgórzu po drodze do wsi Binarowej kapliczkę, pod którą odbywały się dawniej egzekucje.

R. REINFUSS.

¹) Marcin Bielski w swej kronice wywodzi nazwę od „Biessów" ludu, który miał rzekomo niegdyś osiedlić się na Podgórzu.

Potworki w świecie owadów

(Z zagadnień teratogenji i teratologji bezkręgowych)

Wśród nieprzeliczonej ilości ciekawych zjawisk przyrodniczych zachodzących na ziemi, napotykamy cały szereg zjawisk, przewyższających w swej istocie najbardziej wybujałe fantazje umysłu ludzkiego. Przyrodnik — ten wieczny podpatrywacz natury, musi być przygotowany w swych badaniach na wszystko, ponieważ przyroda w swej pomysłowości, jest niewyczerpaną krynicą zjawisk, zachodzących tak w świecie organicznym jak i nieorganicznym.

Pozatem nauki przyrodnicze, jakkolwiek osiągnęły w ostatnich czasach świetną formę rozwoju, mają przed sobą jeszcze szerokie pole do działania, które nie ustanie tak długo, jak długo będzie istniało życie na ziemi.

W niniejszym artykule pragniemy



Potwór podwójny, zrośnięty po stronie grzbietowej wzdłuż całego odwłoku.

poświęcić kilka słów teratogenji i teratologji bezkręgowców, a w szczególności owadów. Teratogenja i teratologia zajmują się badaniem potwornych form organizmu, przyczyną ich powstawania, oraz badaniem wszelkich pokrewnych zjawisk towarzyszących anomaljom organizmów. Nauki te stanowią osobny dział morfologji, dział znajdujący się jeszcze w... powijakach. To też jeżeli chodzi o zboczenia w organizmach bezkręgowych nie są one nagół szerzej znane, choćby z tego względu, że badania morfologiczne, anatomiczne, embrjologiczne i fizjologiczne bezkręgowych przedstawiały większe trudności aniżeli badania z tych dziedzin w odniesieniu do zwierząt kręgowych.

Niemniej przeto są one bardzo ciekawe, a przy dzisiejszym stanie technologji przyrodniczej badania te są ułatwione i znacznie udostępnione.

* * *

Badania nad potwornością form organizmów zwierząt bezkręgowych, zostały zapoczątkowane stosunkowo niedawno, co należy tłumaczyć tem, że bardziej zajmowały umysły przyrodników anomalje organizmów zwierząt kręgowych i ludzkich.

Można wymienić zaledwie kilka nazwisk uczonych, którzy zajmowali się teratogenją i teratologją bezkręgowych, jak Rabaud, Bateson, Leuckart, Vejdovsky i in., jednak prace ich ograniczały się jedynie do wykazania pewnej ilości potwornych form organizmów robaków, mieczaków, czy owadów, celem podkreślenia i analogii podobnych zjawisk u zwierząt kręgowych.

Dopiero w ostatnich latach wzrosło wśród przyrodników większe zainteresowanie się anomaljami organizmów bezkręgowych i badania w tym kierunku wykazują poważny już dorobek naukowy.

* * *

Dociekania nad teratologją bezkręgowych zapoczątkował na większą skalę francuski uczony ks. Cappe de Baillon, który wyniki swych prac i badań nad anomaljami organizmu owadów ogłosił w dziele pt. „Recherches sur la Tératologie des Insectes", Encyklopédie Entomologique VIII., wydanej w Paryżu w 1927 roku. Ciekawa ta książka jest bezprzecznie zapoczątkowaniem zakrojonych na wielką skalę badań teratogenicznych i teratologicznych, dających pole do popisu zoologom.

W książce swej ks. Cappe de Baillon, rozpatruje embrjologię potworów złożonych (podwójnych) u owadów, oraz zjawiska wielotwórczości, na podstawie swych badań nad owadem wschodnio europejskiego pochodzenia Carausius morosus, dającem się łatwo hodować w laboratorjum.

Przyczyny anomalji organizmów zwierzęcych mogą mieć swe źródło albo w zdwojonym aparacie jądrowym oocytów, czy zespoleniu się wewnętrzno jajnikowem oocytów poprzednio samodzielnych, czy też gdzie indziej, w zależności od typu zwierzęcego.

Potwory spotykane wśród Carausius, dzieli autor na podstawie inorfologji zewnętrznej ich okolicy głównej (skąd bierze się początek rozwojowych form anormalnych u Carausius), na trzy kategorje zarodków: nieprawidłowych, asymetrycznych i symetrycznych. Pierwsze — zarodki nieprawidłowe, są te u których nie można oznaczyć, czy potworny kompleks organów składa się z dwu czy trzech osobników, nie można

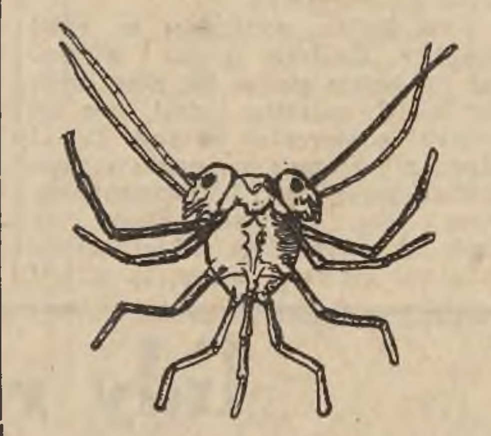


Larwa Carausiusa, zredukowana do zdwojonej głowy i dwu odnóży.

na oznaczyć przynależności danego organu do tego czy innego osobnika, wreszcie — zarodki nieprawidłowe posiadają zawiązki różnych organów umieszczone nie w swojem miejscu, np. oko umieszczone z boku ciała itp.

Do zarodków asymetrycznych zalicza autor potwory o dwu głowach różnowartych, tzn. takich z których jedna jest wykształcona zupełnie, druga zaś tylko częściowo. Dzieje się to przez przyłączenie do jednej głowy, mniejszej lub większej części płatu przedgłowowego głowy drugiej, stąd też powstające dziwolągi posiadają nieparzystą ilość oczu, rożków itp.

Zarodki symetryczne przedstawiają potwory o dwu głowach całkowicie rozwiniętych, przyczem rozwój ten stopniuje się, począwszy od rozdwojenia



Carausius, potwór podwójny, bez odwłoka

się rożków, oczu, otworu gębowego, a kończy się na powstaniu dwu odrębnych głów, a nawet odnóży tułowiowych. Czasem występują jeszcze nieparzyste rożki pojedyncze wspólne dla obu głów, i umieszczone symetrycznie. Tylna część potwora podwójnego nie rozwija się wcale, lub rozwija się bardzo późno, skutkiem czego występują u Carausium dziwaczne niedorozwinięcia okolicy odwłokowej.

* * *

Poza temi trzema głównemi kategorjami zarodków, spotykamy jeszcze anomalje indywidualne, tj. potworzy o zboczeniach pewnych organów, czy okolic ciała. Tak więc rozróżnia ks. Cappe de Baillon, w anomaljach indywidualnych tzw. „atrofje", tj. potwory podwójne zredukowane jedynie do głowy, formy bardzo dziwaczne i makabryczne, dalej formy o nierównomiernym rozwoju poszczególnych części ciała i formy zlewne powstałe przez zrastanie się dwu organizmów w jeden twór pojedynczy.

Następnie przechodzi autor do kolejnego rozpatrzenia stadjów larwowych i stadjum owada doskonałego. Okazuje się, że szereg cech terotologicznych u zarodków, nie występuje w stadjum larwalnem, lecz zanika, — zaś wielka ilość larw o cechach wybitnie anomalistycznych ginie w początkowych okresach swego życia.

Podobnie jak zarodki, dzielimy larwy na trzy kategorje: larwy nieprawidłowe, asymetryczne i symetryczne, to samo tyczy się owadu doskonałego, z ta tylko różnicą, że owad doskonały zatraca pewne szczegóły swej podwójności (silnie występujące w stanie zarodka czy larwy), do tego stopnia, że podwójność potwora zaznacza się jedynie przez pewne wypukłości na grzbiecie, nadliczbowe oko czy też swoiste ułożenie pasm barwikowych. Rzadziej występuje silniej uwidoczniona podwójność.

Genezy powstawania form potwornych u owada Carausiusa, dopatruje się autor w jajach anormalnych, a więc posiadających np. podwójne mikropyle ti. wydłużony bliznowaty rowek na zewnętrznej powierzchni osłony jajka, po stronie odpowiadającej grzbietowej okolicy przyszłego zarodka. Jaja takie nazywamy złożonemi i przeważnie dają one początek podwójnym potworom. Dalej jaja pozbawione mikropyle, oraz jaja o dwu przykrywkach umieszczonych na przeciwległych biegunach.

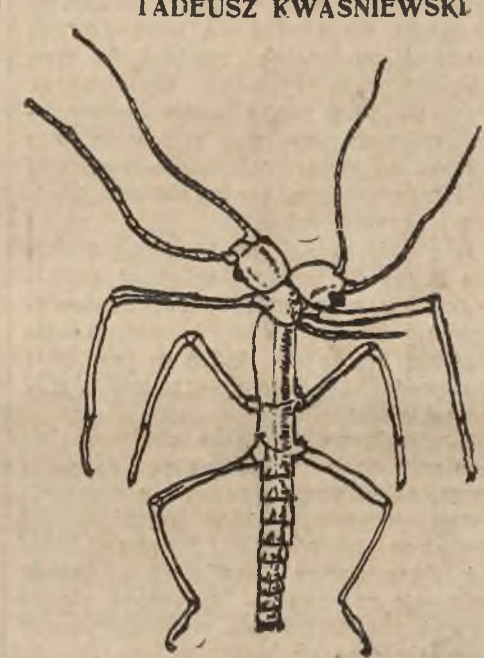
* * *

Jeżeli chodzi o objawy życiowe zaobserwowane u potworów, to te mają inny przebieg u larw, inny zaś u owadów doskonałych.

Te ostatnie, jak wspomniałem mało różnią się zewnętrznie od owadów normalnych, stąd też ich objawy życiowe mają przebieg jak u owadów normalnych. Oczywiście, że anomalje organizmu, odbijają się na owadzie, wpływają np. na krótszy okres życia potworów niż owadów normalnych odbijają się na ich płodności itp. Gorzej ma się rzecz cała u larw. Zniekształcenia i zboczenia ich organów wpływają na to, że potwory larw nie mogą się poruszać i odżywiać, lub wykonują te czynności z nadzwyczajną trudnością.

Tak przedstawiają się w ogólnym zarysie, wyniki badań ks. Cappe de Baillon'a. Rozumie się, że nie wyczerpują one zagadnienia, bo odnoszą się jedynie do badań podwójnych potworów Carausiusa, niemniej przeto śmiało możemy je nazwać podwaliną pod rozwój teratologji bezkręgowych, który to dział morfologji otwiera pole do dalszych bardzo ciekawych badań.

TADEUSZ KWAŚNIEWSKI



Larwa potworna o dwóch oddzielnych, asymetrycznych głowach.

Rozśpiewana Hiszpanja

Jeżeli któremuś z radjoamatorów uda się „złapać" na swój odbiornik Madryt lub Barcelonę (stacje słabe, o sile 3 względnie 4 KW.), można ze stuprocentową niemal pewnością powiedzieć, że usłyszy zawsze... muzykę. Czy to będą piosenki hiszpańskie, czy tria, czy muzyka kameralna, czy popisy chóralne — tanga, habanera, seguedillą, czy zarzuela, zawsze będą to melodje narodowe, pełne oryginalności i czaru.

Bo Hiszpanja przepada wręcz za muzyką: od wczesnego rana do późnej godziny wieczornej z wszystkich okien płyną dźwięki z radjoodbiorników. Nikomu nie przychodzi nawet na myśl, że sąsiad jego może właśnie zażywa słodkiej sjesty lub siedzi przy pracy... Radjo opanowało w Hiszpanji dom i ulicę, stało się istotnym czynnikiem życia publicznego i rodzinnego.

Muzyka radjowa! Ma ona w Hiszpanji swoje odrębne oblicze: w lwiej części beda to pieśni ludowe, popularne tańce narodowe, piosenki regjonalne poszczególnych prowincyj. A więc rzeczy znane i bliskie słuchaczom, o ognistym rytmie i śpiewnej melodji.

Muzyka, zrozumiała i droga każdemu. To też nic dziwnego, że stanowi ona granitową podstawę programu radjowego, tu i ówdzie jakaś audycja dla chorych czy audycja kobieca, a pozatem muzyka od rana do wieczora!

Wilgoć i zimno - wrogowie człowieka

Jesienne słoty i chłody, — to najlepszy „sezon" dla lekarzy, — sezon katarów, przeziębień i rozmaitych epidemij, przedewszystkiem grypy.

Zastanówmy się, jakie są tego powody. Pomocną nam tu będzie meteoropatologia, specjalna gałąź wiedzy lekarskiej, zajmująca się badaniem w jaki sposób organizm ludzki reaguje na rozmaite zmiany środowiska, w którem się znajduje.

Nauka to nie nowa: od niepamiętnych już czasów obserwowano i rejestrowano ujemny czy dodatni wpływ wilgoci, suszy gorąca i zimna na organizm człowieka. Dopiero jednak w najnowszych czasach, — nie ograniczając się na suchej rejestracji ogólnie znanych faktów, podjęto próby naukowego zbadania i wyjaśnienia całego mechanizmu tych czynników, z punktu widzenia higjeny i patologji.

Nie jest to rzeczą prostą ani łatwą, mamy tu bowiem do czynienia z całym kompleksem różnorodnych czynników, działających równocześnie, jak: temperatura, stopień wilgoci, ciśnienie atmosferyczne, siła wiatru, czystość powietrza itp.

Szczegółowe omawianie wszystkich tych czynników zaprowadziłoby nas za daleko; dlatego zajmiemy się bliżej tylko najważniejszemi z nich.

* * *

Wilgoć i zimno — to najgroźniejsze wrogi pory jesiennej. Zrozumiałym nam się staje cały sens popularnego wyrażenia „trzymaj się ciepło". Organizm człowieka nie zdążył się jeszcze przystosować po letnich upałach do tego dość znacznego spadku temperatury. Pod działaniem zimna kurczą się naczynia kapilarne, co nie pozostaje bez wpływu na krążenie krwi, — a w ślad za tem zmniejsza się odporność organizmu przeciw infekcji.

Nie dość jednak na tem: jak wykazały liczne obserwacje, wilgotne, chłodne powietrze jesienne sprzyja nadzwyczajnie mnożeniu się i przenoszeniu wszelkich zarazków, które w tem właśnie podłożu stają się szczególnie złośliwe i niebezpieczne.

Stwierdzono że takie choroby, jak zapalenie opon mózgowych, dyfterja, grypa, szkarlatyna, szerzą się najgwałtowniej na wiosnę i w jesieni, kiedy powietrze nasycone jest wilgocią. Wilgoć ta nie zawsze objawia się we formie mgły lub deszczu, — lecz może utrzymywać się w postaci mikroskopijnych kropelek pary wodnej.

Te właśnie mikroskopijne, niedostrzegalne dla oka, kropelki, zamieniają się niejako w akwarja, w których żyją i rozwijają się rozmaite, zarówno obojętne dla człowieka, jak i szkodliwe bakterje. W zgubnej swej działalności nie natrafiają one na żadne poważniejsze przeszkody: w wilgotnem powietrzu przenoszą się z większą łatwością z miejsca, gnane powiewem wiatru, opadają na odzież, przedmioty, na ciało ludzkie, — dostają się z łatwością do jamy nosowo - gardłowej, tej bramy wpadowej dla wszystkich zarazków, by stamtąd wędrować do płuc i innych organów wewnętrznych.

Tutaj dopiero występuje w pełni szkodliwe działanie zimna i wilgoci. Pod działaniem zimna, jak zaznaczyliśmy wyżej, organizm ludzki staje się bardziej podatnym na infekcję. Dzięki wilgoci zaś bakterje, normalnie zatrzymywane przez błony śluzowe jamy ustnej i nosa, przenikają głębiej, aż znajdą odpowiednie dla siebie podłoże.

Że tak jest rzeczywiście, udowodnił to dr. Trillat, uczony francuski z instytutu Pasteura. Dzięki skomplikowanym a pomysłowym urządzeniom stwierdził on niezbicie na świnkach morskich, że rozpylane w powietrzu wilgotnem kultury bakteryj dostają się w ciągu paru minut do płuc zwierzęcia, które tem powietrzem oddycha. Natomiast suchy zupełnie pył, zawierający te same bakterje, wdychiwany przez zwierzę nawet przez kilkadziesiąt minut, zatrzymywany był w całości przez błonę śluzową jamy nosowo - gardłowej.

* * *

Wszystkie te rzeczy, naogół oddawna znane nawet zupełnym laikom, są obecnie przedmiotem gruntownych studjów jeszcze i z innych względów.

Idzie mianowicie o zagadnienie komfortu i higjeny naszych mieszkań. Wodociągi, centralne ogrzewanie, gaz, elektryczność, — to jeszcze nie wszystko. Niemniej ważną rolę gra kwestja należytej wentylacji, kwestja czystości powietrza i jego stopnia wilgoci.

Na tem polu zrobiono już dużo, zwłaszcza w Ameryce. Istnieją już specjalne urządzenia, zapomocą których powietrze po przefiltrowaniu, oczyszczeniu i osuszeniu, doprowadza się z zewnątrz do mieszkań. Urządzenia te pozwalają dokładnie regulować temperaturę i stopień wilgoci zupełnie automatycznie.

Jesteśmy zatem świadkami powstawania nowej zupełnie gałęzi nauki, opartej na najnowszych zdobyczach fizyki i medycyny. Nauki, mającej duże znaczenie społeczne, uwzględniającej w równej mierze postulaty nowoczesnego komfortu i higjeny.

Czy jednak z chwilą osiągnięcia takiego idealnego komfortu organizm ludzki na tem nie straci? Skoro niebezpieczeństwo infekcji zostanie zredukowane do minimum, skoro oddychać będziemy w mieszkaniach powietrzem niejako „sterylizowanem", o pewnym z góry określonym, stopniu wilgotności i ciepła, — czy organizm zdoła zwycięsko oprzeć się wszystkim szkodliwym wpływom, na jakie wystawiony będzie poza obrębem mieszkania?

Są to pytania — dziś jeszcze nie aktualne, — a odpowiedź na nie dać może tylko fizjologja. (R)

Gdy radjo się starzeje...

Odbiornik radjowy przez używanie zużywa się i to zarówno pod względem elektrycznym jak i mechanicznym. Zużywają się przedewszystkiem lampy odbiorcze a co za tem idzie — zmniejsza się sprawność aparatu, dalej zużywają się części składowe, których wymiana względnie poprawienie w porę przywraca naszemu aparatowi jego pierwotną sprawność. Oczywiście zgóry przyjmujemy, że aparat był prawidłowo zbudowany, to znaczy, że żadna z części składowych ani z lamp nie była przeciążona elektrycznie i pracuje w najlepszych warunkach pracy. Jeżeli chodzi o lampy — wiemy, że pracują one w zależności od przeznaczenia w pewnych punktach charakterystyki; dobór napięć: siatkowych, anodowych, siatek osłonnych (ekranów) musi być ściśle dostosowany do charakterystyki lampy.

Z części składowych należałoby wymienić: transformatory: sieciowe, niskiej i wysokiej częstotliwości, cewki wymienne, kondensatory o dielektryku stałym, opory wysokoomowe, sprężyny kontaktowe i materjały izolacyjne. Uszkodzenia transformatorów sieciowych i małej częstotliwości są bardzo rzadkie. Mogą zajść skutkiem zwiększenia natężenia prądu co przy dobrze zaprojektowanym i obsługiwanym odbiorniku z góry wykluczamy, lub skutkiem uszkodzeń mechanicznych.

Fabrykacja transformatorów postąpiła obecnie tak daleko, że zarówno utlenienie jak i przebicie międzywarstwowe zostało wykluczone niemal zupełnie. Może zajść zepsucie izolacji — najczęstsze w transformatorach nieopancerzonych. Łatwiej ulegają zniszczeniu wymienione cewki i transformatory wielkiej częstotliwości. Nieprawidłowa konstrukcja, zbyt luźne nawinięcie oraz złe obchodzenie się z niemi przyczyniają się do szybkiego zepsucia, polegającego na złych kontaktach i złamaniach drutu.

Zły kontakt zachodzi najczęściej przy zaniku materjału izolacyjnego: zaradzić temu brakowi możemy przez dokręcenie śrub. Jeżeli drut cewki lub transformatora wielkiej częstotliwości jest złamany i to nie blisko początku lub końca ale w środku, wówczas zmuszeni jesteśmy do ponownego nawinięcia cewki. Materjały izolacyjne ulegają pewnego rodzaju skurczowi, który sprawia, że osadzone w materjale części metalowe ulegają obluźnieniu. Każdy radjosłuchacz może przekonać się o tem, przez dokręcenie wszelkiego rodzaju śrub i zacisków oraz nakrętek. Co pewien czas należy więc przeglądnąć aparat, podkręcać wszystkie śruby i nakrętki jeżeli chcemy zapewnić stałe kontakty.

To samo odnosi się też do sprężyn kontaktowych, oprawek do lamp i cewek, podstawek do oporów wysokoomowych oraz przełączników i wszelkich kontaktów ruchomych. Proste wygięcie sprężyny uchroni nas na dłuższy czas od wadliwych kontaktów i mogących stąd powstać tak niemiłych trzasków i przeskoków.

Przy źle skonstruowanej (nieszczelnej) skrzynce może nastąpić zakurzenie pewnych części a co za tem idzie obniżenie ich wartości. W niektórych konstrukcjach odległości między dwiema częściami metalowemi, które mają być odizolowane od siebie są tak małe że stwarza się pomost dla prądu skoro osiądzie tylko warstwa kurzu. Na zakończenie należy dodać, że nieraz spotykamy się z utlenieniem miejsc, przy lutowaniu których został użyty kwas. Jeżeli utlenieniu uległa delikatniejsza część aparatu, musimy o ile oczyszczenie nie pomogło — wymienić tę część na nową.

S. K. W.

PUBLIUS OVIDIUS NASO.

Śmierć Herkulesa

(„Przemian" ks. IX. w. 132—210)

Zamieszczamy poniżej wyjątek z dokonywanego przez A. Ćwikowskiego przekładu jednego z najsłynniejszych utworów klasycznej literatury łacińskiej, „Przemian" P. Ovidiusa Nosona

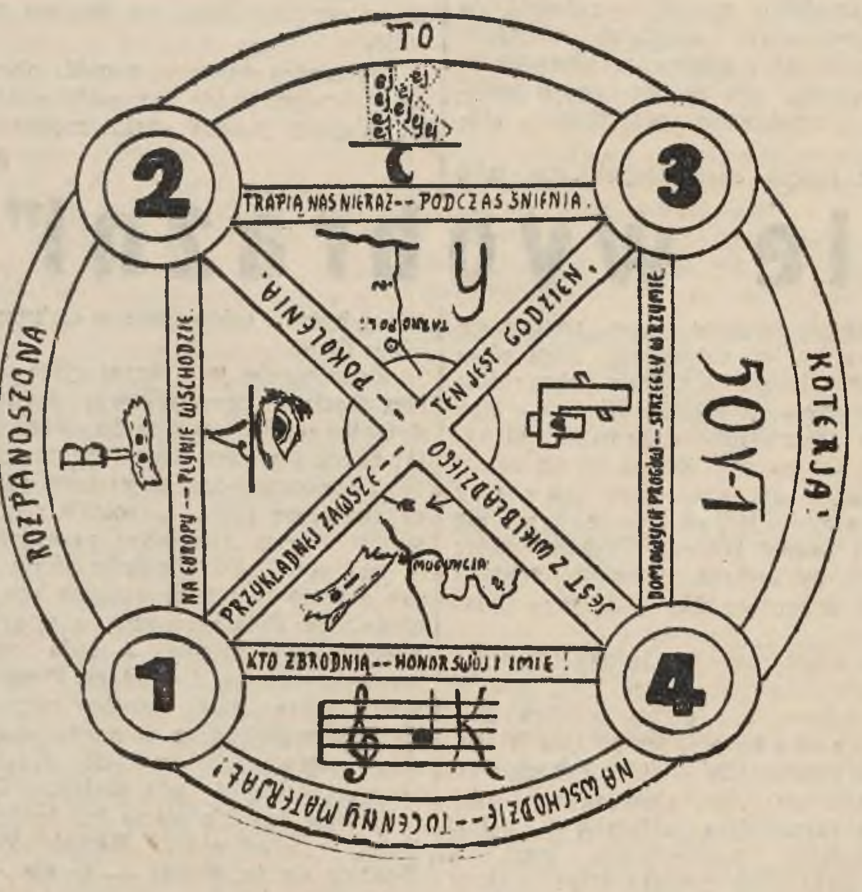
— — — — Herkulesa chwała
Niosła się ziemią i gniew macochy wzmagała.
Jowiszowi w Caeneum zwycięsca z Oechalji
Miał wypełniać ślub, gdy Wieść gadatliwa z dali
Do uszu, Dejaniro, twych szepnąć pośpiesza —
Która cieszy się, kiedy fałsz z prawdą pomiesza
I z drobnostki przez kłamstwo wzrasta — że Iole
Trzyma Amfitrjonade w swej miłości kole.
Uwierzyła — i zdjęta lękiem wobec wieści
Nowej miłości płakać jęła i boleści
Płaczem ulgę przyniosła. Potem: Na cóż łzy mi? —
Rzekła — radość rywalce przyniosłabym niemi.
Ma przybyć... muszę śpieszyć się, coś przygotować,
Póki czas, zanim przyjdzie w mym domu panować.
Milczeć czy płakać? Wrócić, w Kalydon się schronić?
Czy zostać? Dom opuścić? Czy jej wstępu bronić?
Nic więcej? A co, jeśli, Meleagrze, godnie
Jak twa siostra działając, przysposobię zbrodnię
I zabiwszy rywalkę, zaświadczę, co znaczy
Krzywda niewieścia i ból niewieściej rozpaczy?
Aż po długiem wahaniu wreszcie postanowi
Napojoną Nessusa krwią wysłać mężowi
Szatę, która miłości ma wskrzesić zarzewie.
Nie wie Lichas, co bierze, ona sama nie wie,
Co śle na swą żałobę: pochlebnemi słowy
Prosi go, aby wręczył podarunek owy.
Nieświadomy bohater kładzie na ramiona
Szatę, co jadem żmiji z Lerny przepojona.
Modląc się, kładł kadzidła w pierwszych ogni żary
I wino lał na ołtarz marmurowy z czary...
Zawrzał jad ów i topiąc się w cieple, szeroko
Po ciele Herkulesa rozlał się posoką.
Dopóki zdołał, zwykłem męstwem dusił jęki,
Lecz skoro wytrzymałość zwyciężyły męki,
Odepchnął ołtarz. Oetą poniósł się krzyk głośny;
Rozrywa, chce się szaty pozbyć śmiercionośnej
I wraz z nią zdziera skórę, bo — mówić ohyda! —
Szata lepnie do członków... szarpać się nie przyda...
Lub krwawe płaty ciała odsłania i kości.
Sama krew — jak żelazny pręt gdy do białości
Rozżarzysz i zanurzysz w zimnej wody fali,
Syczy i wre zmieszana z jadem, co ją pali.
Niema rady. Przeżera wnętrze ogień rączy,
Po ciele się sinemi kroplami pot sączy,
Skwierczą ścięgna, jad działa w topniejącym szpiku —
A wtedy do gwiazd ślepych podniósł ręce w krzyku:
Napaś się mem nieszczęściem, Saturnio, i z tronu
Niebios patrzaj, okrutna, na tę mękę zgonu
I nasyć dzikie serce! A jeżeli wzrusza
Los mój i wroga — wrogiem jam ci — daj, niech dusza
Bolem znękana, tobie tak znienawidzona,
Uleci... Ona była dla trudów stworzona.
Śmierć — darem dla mnie; okaż się macochą... w darze!
Jam to krwią plamiącego przybyszów ołtarze
Buzirisa poskromił? jam to matki siły
Anteuszowi wydarł? mnie to nie straszyły
Trzy ciała Geryona? Cerber, o paszczęce
Potrójnej? rogi tura wyście zgięły, ręce?
Waszem dziełem w Elidzie? Waszej to roboty
Czyn nad Stymfalos i na Parteniosie? Złoty
Haftem z nad Termodontu pas, owe owoce,
Których bronił bezsenny smok, wasze-li moce
Przyniosły? Nie mogli mi Centaurowie sprostać,
Ni dzik, rabuś z Arkadji... Cóż — że hydry postać
Potężniała przez stratę dwakroć w sile swojej?
Ha! a gdym ujrzał, że Trak rumaki swe poi
Krwią ludzką, że im w żłoby z ciał strawa podana,
Rozrzuciłem je, konie zabiwszy i pana!
W tych ramionach zduszony legł potwór olbrzymi
Nemei, ten kark niebo podtrzymał. Swoimi
Rozkazami znużyła się Juno srożąca,
A ja trudem niezmożon zostałem do końca.
Lecz oto groza nowa, od której nie zbawi
Męstwo ani broń żadna. Płomień płuca trawi
I sycąc się, po wszystkich członkach ciała bieży...
Ale zdrów jest Eurysteus! i jest ktoś, kto wierzy,
Że są bogowie? Rzekł — i w ranach Oety szczytem
Kroczy jak tur, z żelaznem ostrzem, w ciało wbitem,
Gdy sprawca uszedł. Można było w owej dobie
Widzieć, jak jęczy, to znów zgrzyta, to na sobie
Usiłuje nanowo rwać szaty, pnie drzewne
Wali, górom porywy każe odczuć gniewne,
Albo ku niebu ojca wyciąga ramiona...
Wtem spostrzega Lichasa. Skała wydrążona
Kryła drżącego... Ból w nim wznieca szał bez miary:
Tyś to, Lichasie,— krzyknął — przyniósł śmierci dary?
Tyś sprawcą mojej zguby? Drży i z twarzą białą
Od strachu tłumaczyć się próbuje nieśmiało.
Podczas gdy do nóg chyli się szepcąc wyrazy,
Porywa go Alcyda i kilka nim razy
Zawinąwszy, w Eubejskie fale ciska z mocy
Rozmachem, potężniejszym od wojennej procy.
On, lecąc przez powietrzną przestrzeń, kamienieje:
Jak zsiadać zwykł się deszcz, gdy zimny wiatr zawieje
I z tego śnieg powstaje i jak śniegu płatki
Kręcąc się, krzepną w ciała o powierzchni gładkiej
I tworzą gęstą masę gradu — tak rzucony
Lichas w puste powietrze silnemi ramiony,
Gdy wilgoć w ciele stracił i krew z przerażenia,
Według podania w twardą skałę się przemienia
I dziś nad Eubejską toń wzgórek wybiega
I oko w nim ślad ludzkiej postaci dostrzega.

Tłumaczył ARTUR ĆWIKOWSKI

DZIAŁ ROZRYWKOWY

Szarada geometryczna z rebusami

(ułożył „John Ly“)



Jest to graficzna forma szarady połączona z 2 rebusami kołowemi, z których jeden rozmieszczony na odcinkach kołowych daje w rozwiązaniu 3 wyrazy, drugi, na polach trójkątów jest 5-wyrazowy. Rozwiązaniem samej szarady jest wyraz czterosylabowy. Sylaby te w wierszach zastąpione są kreseczkami, a ich porządkowe numery znajdują się na krańcach każdego wiersza. Rozwiązanie szarady i obu rebusów tworzą organiczną całość.

Za rozwiązanie powyższego zupełnie nowego i oryginalnego zadania, przeznacza autor specjalną nagrodę z własnoręczną dedykacją.

Zagadka lawinowa

(ułożył „Perkun“)

Zaczynając od jednej litery dodawać wciąż po jednej głosce tak, by (przy odpowiedniem przestawianiu liter) powstawały kolejno wyrazy o następujących znaczeniach:

1) samogłoska, 2) karta, 3) owad, 4) pozostałość na dnie, 5) skupienie zwierząt, 6) jedna z postaci w komedji Fredry, 7) dzielnica w Krakowie.

—0—

Łamigłówka

(ułożyła Fr. Goldowa, Lwów)

Ten pan zdaniem mojem, kto przestał na swojem.
Kto raz skłamał, temu nikt wiary nie da.
Nie zawsze w piątek święto.
Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
Kto się czubi, ten się lubi.
Światby nie istniał, gdyby wiary nie było.
Nie mów hop, aż przeskoczysz.
Bez pracy nie ma kołaczy.

Z każdego z powyższych zdań wyjąć po jednym wyrazie, które czytane kolejno dadzą w rozwiązaniu aforyzm.

Szaradka

(ułożyła „Arja“)

Kto majątek swój **trzy - cztery,**
wnet wychodzi ze swej sfery.
Pierwsza - czwarta na nim licha,
więc **dwa - cztery** ją i wzdycha:
„Gdybym nie był taki **wszystek**,
nie wyglądałbym jak chłystek!“.

—0—

Szarada na czasie

(ułożył „John Ly“)

Polak wysiłek jeśli zrobi szczery,
to zawsze świetnie rzecz swą **„raz - pięć - cztery“.**
Trzeci balonów już do końca dobiegł:
i tutaj sukces zdobyliśmy sobie..
Widać — jesteśmy nie tylko **sześć-czwarci**,
do uprawiania **czwartej - pierwszej** zdatni,
lecz i w czem innem jesteśmy coś warci
i — gdy **dwa - czwarci** — to już nie ostatni..
A w każdym razie śmiało twierdzić możem,
żeśmy **trzy - czwarci** także i w przestworze

— — — — — — — —

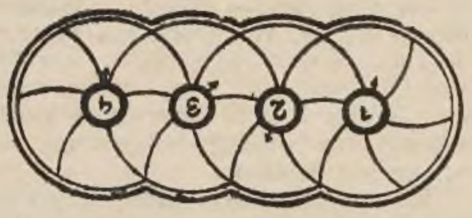
Gdybyż tak każdy **trzeci** był wysoki —
żaden nas **drugi** nie kalał **czwór - siódmy!**
Chwała **Sześć - siódmy** wzrosłaby w obłoki,
i jakże-ż żywot nasz w niej byłby cudny!.

—0—

Rozrywki dla młodzieży

Kółeczka

(ułożył „Ski“)



W wolne pola poszczególnych kółek należy wpisać litery, poczynając zawsze od pola oznaczonego strzałką i posuwając się w kierunku zegarowym.

W ten sposób powstaną cztery wyrazy o następującem znaczeniu:
1) miasto w Indjach, 2) Państwo w Azji, 3) góra w Armenji, 4) jeden ze stanów w Brazylji.

—0—

Kwadrat magiczny

(ułożył St. Lachowicz, Lwów)



W kratki wpisać należy cztery wyrazy o poniżej podanem znaczeniu, dające się jednako czytać poziomo i pionowo:

1) Twórca prozy rzymskiej, 2) imię męskie, 3) wyrażenie techniczne używane przy ważeniu, 4) imię arabskie.

—0—

Skarbonka

Zbyszek zbierał przez cały rok pieniądze do skarbonki, na zakupno mundurka i płaszcza. Aż wreszcie nadeszła chwila, kiedy trzeba ją było otworzyć.

W skarbonce znalazł ogółem sto sztuk rozmaitych monet: po 5 zł., po 1 złotym i po 20 groszy. Po przeliczeniu pokazało się, że wszystkie te monety przedstawiały razem wartość stu złotych.

Ile zatem było wśród nich pięciozłotówek, ile złotówek, a ile 20-groszówek,

—0—

Rozwiązania prosimy nadsyłać najdalej **do środy, 24 października br.**

Za trafne rozwiązanie do wylosowania interesująca powieść z ostatnich nowości wydawniczych.

—0—

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 269

Krzyż magiczny: Autorytet, kompromis, Symonides, Wenizelos, mecenas, semafor, Tenedos, satyryk, salonik, kodycyl, samopomoc, kolatorzy, robotnica, porzeczka.

Szarada aktualna: Polsko - niemieckie karesy.

Szarada: Bereza.

Wirówka: Dokument — koniuszy — mundurek — uwertura — bakterje — brylanty — trwożnie — Łokietek = Rozrywki umysłowe.

Geograficzna szachownica: Wadowice, Tarnopol, Pireneje, Marsylja, Berezyna, Zakopane, Nieszawa Kalkuta = Warszawa.

Szarada: Karoserja.

Kłopoty bibljotekarza sprawiły zapewne niemało kłopotu i naszym czytelnikom, skutkiem niewyraźnie wykonanej i odbitej kliszy, co uniemożliwiało rozwiązanie. Dlatego zadanie to eliminujemy zupełnie, przepraszając wszystkich czytelników za zawód. Cała bowiem tajemnica kryła się właśnie w rysunku.

= = =

ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

Ze Lwowa: pp. F. Boczarska, Ir-ka, A. Rogozińska, Sigma, inż. J. W., M. Zygmuntowicz, Wanda Smolicka, J. Koberwein, Zofja Kiernicka, Roman H., Wład. G., M. Ruxerówna, J. Kwiczoll, Hel. Kowalska, M. Angielczykowska, Eug. Dworski, Marja Dworska, M. Łesiuk, Bron. Ostrowski, St. Krzywobłocka, R. Wit, St. Łachowicz, „Kazik ze Zboisk“, Irenka M-a, „Zbyszek Czarny“.

Z poza Lwowa: pp. Tad. Dworski (Sanok), M. Potocka (Sanoczek), M. Lityńska (Przemyśl), „Olga“ (Jarosław), Cz. Murczyński (Kraków), Ir. Wilkowa (Rzeszów), „Tom“ (Rzeszów), M. Alexandrowicz (Delatyn), M. Kański (Kraków).

Nagrodę uzyskała p. **Wład. G. we Lwowie.**

Nagrodę dla młodzieży przyznajemy p. **Irence M. we Lwowie.**

Książki są do podjęcia w naszym kantorze (Zimorowicza 10).

Ze świata książki

Aleksander Grau-Wandmayer: „Pod ciężarem złota“, powieść. (Wyd. Biblioteka Kresowa, Lwów 1934). Niewiele mamy dotychczas powieści współczesnych z życia emigracji polskiej na drugiej półkuli. Najlepiej jeszcze pod tym względem wychodzi nasza emigracja w Brazylji, temat ten pociągnął bowiem pisarzy swą egzotyką. Ostrowskiego „Kobuz“, czy Pawłowicza „Pionierzy“, to próby epopei chłopa polskiego, przesiedlonego w zupełnie obce, obojętne, a nawet wrogie mu środowisko.

Natomiast emigracja polska w Stanach Zjednoczonych w naszej literaturze powieściowej traktowaną była dotąd po macoszemu. Powieść Wandmayera — razem z drugą tegoż autora „Żywy łańcuch“ uważać należy za pierwsze poważniejsze próby na tem polu.

Wielką i niezapomnianą ich zaletą jest fakt, że autor, przebywając przez szereg lat w Ameryce, poznał doskonale środowisko, które opisuje, że patrzał na koleje życia, wzloty i upadki polskich emigrantów na tle tamtejszych stosunków.

Sama fabuła powieści związaną jest ściśle z życiem społecznem i ekonomicznem kraju, skutkiem czego całość rozrasta się do rozmiarów poważnej powieści obyczajowej. Ma to jednak i swoje ujemne strony: bardzo obfity i różnorodny materjał z trudem mieści się w ramach jednego tomu. Możnaby podzielić go na dwa lub trzy tomy, a jeszcze nie starczyłoby miejsca na wyczerpujące naświetlenie wszystkich poruszonych przez autora, a jakże ciekawych zagadnień.

We formie obecnej „Pod ciężarem złota“ jest powieścią ciekawą i wartościową. Dzieje rodziny emigranta polskiego, Modraczewskiego, opowiedziane w sposób prosty, a dyskretny, bez polowania na sensacyjność, czyta się z dużem zainteresowaniem. Rozumiemy mentalność tego chłopa, który własną pracą dorobił się majątku, a który ugina się „pod ciężarem złota“, tego demona, wnoszącego rozdźwięk i nieszczęścia w rodzinę miljonera.

Miejmy nadzieję, że Wandmayer nie poprzestanie na tych dwóch próbach, że da nam dalsze powieści z tego cyklu. Pewne skondensowanie akcji przy silniejszym retuszu poszczególnych postaci podniosłoby bardzo wydatnie wartość całości.

J. Dewey: „Jak myślimy“ — (wyd. Książnica-Atlas, Lwów). Dzieło wybitnego amerykańskiego pedagoga i myśliciela pojawiło się w dobrym polskim przekładzie jako tom 21-szy Bibli. Przekładów Dzieł Pedagogicznych. W dziele tem autor, opierając się na długoletniem doświadczeniu i naocznych obserwacjach, daje niejako zarys psychologii i pedagogiki myślenia, porusza zatem najistotniejsze i najaktualniejsze zagadnienia, interesujące dzisiejszych pedagogów.

Oscar Wilde: „The nightingale and the rose“ (Biblioteczka Angielska, zeszyt 4, wyd. Książnica-Atlas, Lwów).

Przepiękna, pełna poezji bajka Wilde'a należy do arcydzieł literatury angielskiej. Dobry tedy wybór zrobiła „Książnica-Atlas“ wypuszczając tę perełkę w zapoczątkowanem zeszłego roku wydawnictwie „Bibljoteczki Angielskiej“.

Lektura ta, przeznaczona zasadniczo dla nauki szkolnej. Ale niewątpliwie weźmie ją chętnie do ręki każdy człowiek, znający język angielski choćby w stopniu elementarnem, tem więcej, że dołączone do tekstu objaśnienia i słowniczek będą mu znacznem ułatwieniem.

„Świat i życie“, tom II, zeszyt VIII (wyd. Książnica-Atlas, Lwów — Warszawa). — Zarysem encyklopedycznym współczesnej wiedzy i kultury nazwała redakcja to oryginalnie pojęte, jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo. Idąc po tej linji, wybiera kolejno, celem obszerniejszego omówienia, tematy z najróżnorodniejszych dziedzin kultury i nauki, tematy najaktualniejsze, zdolne wzbudzić zainteresowanie u młodego czytelnika, dla którego przedewszystkiem wydawnictwo to jest przeznaczone.

W ramach paru stron omawiają najlepsi fachowcy zagadnienia historyczne, etnograficzne, ekonomiczne, kulturalne, przyrodnicze i t. d.

W ostatnim zeszycie znajdujemy materjał wyjątkowo urozmaicony: z „lżejszych“ rzeczy wymienić należy doskonałe artykuliki o Islamie, Indjach i Indjanach, dalej interesujące artykuły o hutnictwie, instynkcie i impresjoniźmie. Zagadnienie „inteligencji“ i jej dzisiejszą pozycję omawia obszerniej prof. Łempicki, podczas gdy dr. Dembowski zajmuje się pojęciem „idealizmu“ na przestrzeni dziejów ludzkości.

Uzupełniają zeszyt, jak zwykle, liczne, starannie dobrane ilustracje. Że niektóre z nich (reprodukcje dzieł Fałata, Stanisławskiego, Pankiewicza) nie dają właściwego pojęcia o całem pięknie oryginału, to już wina jednobarwnych klisz. Może należałoby się zastanowić nad zamieszczaniem — w miarę potrzeby — choć paru ilustracyj wielobarwnych, jak to jest przyjęte we wszystkich encyklopedjach zagranicznych? Rozumiemy dobrze, że pociągnęłoby to za sobą pewne zwiększenie kosztów wydawnictwa, ale podniosłoby znamienicie jego wartość artystyczną. Zwłaszcza potrzebnem by to było przy reprodukcjach arcydzieł malarstwa.

Ks. W. Kneblewski: U źródeł świętej rzeki (Dom Książki Polskiej, Warszawa). Autor, znany publicysta, daje nam w tej książce szereg ciekawych spostrzeżeń i impresyj ze swej podróży po Palestynie. Pisze barwnie, interesująco, z ukochaniem tematu, oprowadzając nas po wszystkich zakątkach tej ziemi, na której Zbawiciel żył i cierpiał.

Najwięcej miejsca poświęca oczywiście Jerozolimie i bazylice Grobu Pańskiego, dokoła której istnieje od wieków „Święte współzawodnictwo“ wszystkich wyznań.

Książka ks. Kneblewskiego, odznaczająca się bystrością obserwacji i głębokiem ujęciem tematu, jest równocześnie znakomitym przewodnikiem po Ziemi Świętej.

Uzupełnia ją kilkanaście ilustracyj znanego malarza A. Laszenki, które jednak w technice jednobarwnej wypadły dość blado. **(kr.)**

KURJER RADJOWY

Radjofonja w Japonji

Prawdziwy, wielki rozwój radjofonji japońskiej przypada na rok 1924. Impuls do tego dało katastrofalne trzęsienie ziemi z dnia 1. września 1923.

Wówczas dopiero ocenili japończycy należycie całą wartość radja, umożliwiającego natychmiastowe przenoszenie wiadomości i przedsiębranie potrzebnych środków zaradczych na wypadek jakiejś katastrofy.

Inicjatywa wyszła — jak wszędzie indziej — z kół prywatnych. Już w roku 1924 zawiązują się trzy odrębne przedsiębiorstwa: w Tokio, Osaka i Najoya. Obecnie posiada Japonja siedm wielkich stacyj nadawczych, 18 stacyj filjalnych oraz ponad 30 małych stacyj, o sile nieprzekraczającej 1 kw., rozrzuconych po całym obszarze państwa.

Drobniejsze te stacje retransmitują programy stacyj głównych, dzięki czemu radjosłuchacze nie potrzebują zakupywać drogich aparatów kilkolampowych, zadowolniając się detektorem.

System ten okazał się w praktyce znakomitym. Liczba radjosłuchaczy, wynosząca w r. 1930 zaledwie 700 tysięcy osób, z początkiem bieżącego roku doszła do 1½ miljona.

Przyczynia się do tego ustawicznego wzrostu również i niska stosunkowa opłata, wynosząca 0.75 yena miesięcznie (niespełna 1½ złotego). Abonament opłaca się w domu: co miesiąc zjawia się inkasent, który nie ma najmniejszego kłopotu z odszukaniem abonenta: na drzwiach mieszkania musi być umieszczona kartka z uwidocznionym na niej numerem abonamentu.

„Pajęczarstwo" jest w Japonji rzeczą niemal zupełnie nieznaną. Przyczynia się do tego w dużej mierze system budowania małych, lekkich domków o cienkich ścianach. W domkach takich naprawdę „ściany mają uszy", — nic się ukryć nie daje.

W dzisiejszym życiu społecznem Japonji radjo odgrywa już pierwszorzędną rolę. Zainteresowanie niem wzrosło szczególnie podczas ostatnich walk w Mandżurji i w Chinach, o których radjo informowało stale słuchaczy zapomocą radjoreportaży bezpośrednio z placu boju.

O stopniu zainteresowania świadczy również fakt, że w Japonji wychodzi 36 dzienników i 22 perjodyków radjowych.

Programy stoją pod kontrolą rządu. Zabronione są wszelkie przemówienia polityczne, agitacyjne, przedwyborcze i t. p.

Charakterystyczną cechą trzech największych stacyj (Tokio, Osaka i Najoya) jest „dwutorowość" ich programów: podczas gdy jedne audycje poświęcone są wyłącznie rozrywce (muzyka, śpiew, recytacje i t.p.), — równocześnie nadaje się program drugi, w którym cały nacisk kładzie się na naukę języków, odczyty, wykłady z dziedziny historji, kultury i sztuki oraz hygieny.

W dziedzinie muzyki uwzględnia się w równej mierze dawnych mistrzów japońskich, jak i najnowsze kompozycje współczesne, aby w ten sposób zadowolnić upodobania wszystkich słuchaczy.

Jest rzeczą charakterystyczną, jaką popularnością cieszy się radjofonja w całem społeczeństwie japońskiem: dzienniki poświęcają stale co dnia całą stronicę programom radjowym oraz artykułom, omawiającym działalność radja.

Z usług radja korzystają też w dużej mierze kupcy i przemysłowcy, przeznaczając ogromne sumy na reklamę przez radjo.

Nie można się temu dziwić: obecnie, jak obliczono, każdy trzynasty mieszkaniec Japonji posiada aparat radjowy.

(k.)

„Na scenie wyobraźni"

Naogół — wciąż jeszcze myśląc, mówiąc i czytając o światku gwiazd filmowych, wyobrażamy sobie że poszczególne jednostki, składające się właśnie na tenże „światek" — to ludzie bez najmniejszych kłopotów; ludzie wybitnie pod każdym względem uprzywilejowani, których życie upływa pod znakiem hołdowania własnym najbardziej wybujałym przyjemnościom; do których przystępu nie ma zmartwienie, troska, miłość czy inne — równie „niepopłatne" — uczucie. W głównej mierze utrzymują nas w tem mniemaniu wszelkie powieści, opowieści, reportaże, wywiady i jeszcze inaczej ponazywane plotki, fabrykowane według stałego, raz narzuconego szablonu.

Bardzo korzystnie przeciwstawił się temu szablonowi radjowy utwór Janiny **Morawskiej**, zatytułowany **„Dom w nocy"**, określony jako słuchowisko dramatyczne. Treść jego — skonstruowana jakby według pseudo - klasycznego wzoru jedności czasu, miejsca i akcji — to zdarzenia zaszłe w ciągu paru krótkich późnych nocnych godzin. Auto wiozące słynną gwiazdę filmową i jej przyjaciela, z powodu małego defektu — staje. Noc jest zimna, pełna deszczu i grzmotów; artystka za wszelką cenę chcę znaleźć się pod stałym dachem, by w bezpiecznem miejscu przeczekać ulewę. Jedyny, stojący przy drodze dom, wydaje się z początku przemokniętym podróżnym — niezdobytą twierdzą. W końcu jednak dostają się do jego wnętrza; przyjmuje ich przyboczny lekarz właściciela domu, który wraz ze starym sługą — nie okazuje im zbytniej gościnności: wprost chce pozbyć się przybyszów jak najprędzej. Swą nieuprzejmość lekarz motywuje obecnością **kobiety**: oto właściciel domu — jego klient — jest człowiekiem napół obłąkanym. Choroba jego datuje się od chwili opuszczenia go przez żonę, to znaczy od dwudziestu lat; od tego też czasu nie widział **żadnej** kobiety. Trzeba więc uważać, by i teraz obecność artystki w jego domu, nie doszła do jego świadomości.

Nie udaje się to jednak i nawpół obłąkany właściciel domu staje oko w oko z kobietą — z swym gościem. Bierze ją za swą żonę, która po tylu latach, po tylu przejściach, wróciła nakoniec do opuszczonego męża. Urzadza więc nad nic nie rozumiejącą artystką — sąd z całego życia i postępowania innej kobiety. Sąd, który otwiera artystce oczy na jej własną, zmarnowaną przeszłość i tragiczną przyszłość. Ta czterdziestoletnia kobieta pod wpływem słów obłąkańca, kierowanych zresztą nie do niej, czuje że i ona zniszczyła życie nie tylko sobie, ale i swemu mężowi, jedynemu mężczyźnie, naprawdę kochanemu: zastrzelił się, gdy od niego odeszła.

Gwiazda filmowa teraz dopiero odczuwa ból i żal za szczęściem, które sama zaprzepaściła. Przed szaleńcem jest szczera jak przed nikim innym. I ta właśnie rozmowa — to przesilenie dramatu. Biedny szaleniec zrozumiał, że istnieje przebaczenie, kojące największe nawet rany serca — zadane przez zdradę; ona — czterdziestoletnia „gwiazda" — zrozumiała, że dla niej po przejściu swego apogeum, największem szczęściem byłoby schronienie w cichym domu.

Zakończenie jest raczej tylko ostatnim węzłem przypadkowej fatalności. Artystka o świcie wraca do swego świata; napół uleczony szaleniec, który przy boku rzekomo odzyskanej żony pragnął zacząć nowe życie — zostaje sam, ze swym nowym życiowym zawodem.

Specjalną uwagę należy zwrócić na grę artystów, odtwarzających poszczególne role. Rola nerwowej, a w gruncie nieszczęśliwej artystki — była wprost jakby stworzona dla **Marji Modzelewskiej**, która grała bardzo naturalnie, świetnie przechodząc od nerwowego nastroju pierwszych chwil, do tragicznej powagi w scenie sądu szaleńca. Drugą — równie żywą postacią był tenże szaleniec w interpretacji **Michała Meliny**. Okazuje się że **Melina** — to nie tylko wytrawny i pierwszorzędny reżyser, ale i artysta, znakomity w rolach charakterystycznych. Reszta zespołu dobra.

Radjostacja poznańska — dotąd nie nadająca żadnych słuchowisk — wystawiła pierwsze p. t. **„Dwie fale" T. Markowskiego**. Bezwątpienia — autor miał jak najlepsze chęci, całość jednak należała do słabych audycyj. Przypominała ona — do pewnego stopnia rebus. A chyba każdy przyzna, że częstowanie słuchaczy rebusami, może się jednym podobać a drugich znudzić, czy zniechęcić; ogólnie zaś biorąc — jest niekorzystne dla samego radja. Szkoda więc, że tak niefortunnie wypadła ta pierwsza próba Poznania w tej dziedzinie. Omawiając stronę reżyserji tego słuchowiska, wytknąć muszę wybitnie nieudolne usiłowanie odtworzenia **gwary lwowskiej przez artystkę**, grającą „właścicielkę pensjonatu". Ani aktorka, ani reżyser nie mając najmniejszego pojęcia o tej gwarze, uraczyli nas „przeciąganiem", przypominającem raczej Wilno, upstrzonem obficie lwowskiem „ta". W całości robiło to śmieszne wrażenie nieefektownego silenia się na oryginalność.

r. R.

EARNEST HOLM 10

„Ślepy Jack"

Nagle znalazł wytłumaczenie. Szybko obrócił koszulę i krzyknął zdumiony. Na wewnętrznej stronie koszuli widoczne były trzy szeregi słów, wypisane atramentowym ołówkiem, który z powodu wilgoci przeszedł na drugą stronę materji, tworząc owe oryginalne plamy na przodzie koszuli.

Niebieskawo-czerwone słowa pod wpływem wody zamazały się nieco, można było jednak wyraźnie odczytać:

„Wskutek śmierci przez oczy zarządzam ja, Gordon Stuart z Colgary, Merryhill Rauch, by cały mój majątek odziedziczyła moja córka, Clarissa i prosze sąd, by uważał to jako moją ostatnią wolę i testament. — Gordon Stuart".

Poniżej jeszcze jedna, urwana linja, której pierwsze słowo zaczynało się od litery „O".

„O... mię...: w...: zasadzkę wciągnął...:

Larry spojrzał na urzędników.

— Jest to najoryginalniejszy testament, jaki kiedykolwiek napisano, — rzekł cicho.

Odłożył koszulę, powrócił do trupiarni i powtórnie przeszukał trupa. Jedna jego ręka była kurczowo zaciśnięta; fakt ten uszedł uwadze lekarzy. Z trudem otworzył palce — coś z cichym brzękiem upadło na kamienną posadzkę. Schylił się i podniósł: złamana spinka z mankieta, oryginalnej konstrukcji. Na czarnej płytce z emalji był wianek z małych diamentów. Rozpoczął na nowo bardzo szczegółowe poszukiwania, jednak bez rezultatu.

Ze zmarszczonem czołem spojrzał na urzędników. Co to miało oznaczać? Jaką łączność miały te drobnostki? Że związek ten istniał — tego był pewien: oryginalne spotkanie między dr. Judd'em a „błyskotliwym Fredem", testament na koszuli, a teraz ten nowy wynalazek: spinka z mankieta.

— Morderstwo!

Wiedział o tem, czuł to — tysiąc niewidocznych głosów szeptało mu:

Morderstwo! Morderstwo!

ROZDZIAŁ VI.

Dokoła tego całego wypadku wytworzyła się jakaś nieprzenikniona, zagadkowa atmosfera. Jakby gęsta mgła, w której poruszały się zagadkowe postacie, z której wyłaniały się nieuchwytne, ponure cienie, by zaraz zniknąć.

Gdy powrócił do biura, młoda dziewczyna przygotowywała się do przyrządzenia herbaty na elektrycznej kuchence.

— Hallo! — zawołał. — Zupełnie o pani zapomniałem. Proszę mi powiedzieć, — spytał pospiesznie, — czy Stuart nie miał spinek u mankietów?

Przytaknęła, biorąc ze stołu mały pakuneczek.

— Komisarz zapomniał to panu odrazu pokazać; przyniesiono to właśnie, gdy pan wyszedł.

Rozwinął papier i znalazł wewnątrz dwie zwykłe złote spinki bez żadnego monogramu lub herbu.

Larry wyjął z kieszeni spinkę emaljowaną z brylantami i położył ją obok nich.

— Co to? — spytała. Czy znalazł to pan w jego... — zawahała się.

— Tak jest, znalazłem to w jego ręce, — rzekł, skinąwszy głową.

— A zatem sądzi pan, że to morderstwo?

— Bezwzględnie jestem o tem przekonany, — rzekł spokojnie. — Dowieść jednak tego będzie niezwykle trudno, a jeśli nie stanie się cud, w takim razie — łajdak, który to popełnił, pozostanie na wolności.

Wyjął z szafy szalkę i dołożył do reszty obie złote spinki oraz połówkę, znalezioną w ręku nieboszczyka.

Potem przypomniał sobie, że dotychczas nie zbadał jeszcze małego zwitku bromowego papieru.

— Nie mam pojęcia, co to ma znaczyć; tę rolkę papieru miał w kieszeni.

Rozwinął ją troskliwie i płasko rozłożył na stole. Dziewczyna, stojąc po przeciwnej stronie stołu, nachylona przypatrywała się, jak rozwijał i wygładzał wąski pasek papieru, długości około dziesięciu centymetrów i ledwie pięciu szerokości.

— Nic tu nie widać, — rzekł obracając pasek — i z przeciwnej strony też nic. Każę to jutro odfotografować.

— Przepraszam na chwilę, — rzekła nagle, wzięła papier do ręki i ostrożnie pogładziła powierzchnię delikatnemi puszkami palców.

Zauważył, że zbladła.

— Spodziewałam się tego, — szepnęła, — a byłam tego prawie pewną, gdy spostrzegłam wypukłości.

— Cóż to takiego? — spytał nerwowo.

— Jest tu kilka słów wypisanych pismem dla ślepców, — rzekła, przykładając znowu palce do papieru i przesuwając lekko w obie strony.

— Pismem dla ślepców? — powtórzył zdumiony.

Przytaknęła.

— Nauczyłam się tego w zakładzie dla ślepych, wiele jednak słów jest uszkodzonych, prawdopodobnie przez wodę. Czy może zechce pan przepisać to, co panu odcyfruję?

Chwycił ołówek, wyrwał z bloku kartkę papieru i czekał. Nagle przyszło mu na myśl, jak bardzo zmieniły się role. Teraz on był sekretarzem, ona zaś dektywem.

— Pierwszem słowem jest „zamordowany" — zaczęła — potem zaś następuje przerwa, następnie słowo „dear"*); dalej znowu przerwa, a teraz słowo „morze" — to wszystko.

(C. d. n.)

Michała Pawlikowskiego „Okna“

W parę tygodni po „Człowieku w obliczu gór“, tej książeczce na czasie, stanowiącej cenny przyczynek do historji kultury, a zarazem głęboko ujęty protest przeciw projektowi odrutowania Tatr siecią kolejek linowych, wydał **Michał Pawlikowski „Okna“.** Zbiór artykułów słusznie nazwany przez samego autora **„magazynem literackim“**, dzięki ciekawemu materjałowi szkicowanemu tylko, by dać możność przemyślenia szczegółów, jest jedną z najciekawszych publikacyj, jakie się w ciągu bieżącego roku ukazały. Subtelne wniknięcie w szereg interesujących i niezmiernie ciekawych zagadnień, czyni z tego zbiorku pięknej prozy naprawdę rzadkie zjawisko literackie. Mimo zastrzeżeń autora, że tytuł nie znaczy nic i że wybrał pierwszy lepszy, uważam tytuł „Okna“ za charakterystyczny ze względu na samą treść zbiorku.

Rozdział pierwszy, zatytułowany „Zwierzenia poety“, obeznaje czytelnika z warsztatem literackim autora, z otoczeniem, wśród którego wzrastał i bogacił się duchowo, dalej opowiada o łamaniu się z formą, byle móc wyzwolić się z podświadomych wpływów i oddziaływań innych poetów, wreszcie o ciągłem pogłębianiu się i wytwarzaniu własnego, niezależnego poglądu na rzeczy. „Tak więc — kończy swe zwierzenia — starałem się opowiedzieć tu szczegóły z mego pisarskiego życia, by dać obraz, jakie okoliczności wpływać mogą na taki czy inny rozwój czyjejś działalności piśmienniczej, zarówno jak dać wyraz mojemu sposobowi myślenia“...

Dwa dalsze rozdziały, to **„wspominki“** poświęcone słonecznym duchom Maryli Wolskiej i Jana Kasprowicza. Maryla Wolska, uczestniczka wspólnych narad, zwierzeń i prac Pawlikowskiego, matka jego żony, należała niewątpliwie do tych istot, które swoją indywidualnością wyciskały nietylko piętno na poglądach redaktora „Lamusa“, ale odegrały także dużą rolę przy krystalizacji tych poglądów. Barwnie skreślona sylwetka autorki **„Dzbanka malin“**, żyje na tych kilkunastu stronach, w szczerym zachwycie napisanego wspomnienia o „jednym z najlepszych naszych duchów, którego pamięć zarówno dla nas, jej bliskich jak i dla wszystkich w Polsce powinna żywą pozostać na zawsze“.

Wspomnienie o Kasprowiczu należy również do cennych zwierzeń twórcy „Harfy Eola“. Niemal, że przyjacielskie obcowanie Kasprowicza z Pawikowskim, pozwoliło autorowi „Okien“ na przedstawienie garści faktów o tym, który odchodząc na zawsze pozostawił po sobie pamięć wielkiego poety narodowego, o gorącem polskiem sercu.

Prostota opowiadania, jaka cechuje dwa te wspomnienia jeszcze bardziej podnosi wartość szkiców, nakreślonych miłującą ręką.

Z ukochania **„Króla Ducha“** zrodziło się studjum, całkowicie poświęcone lekturze tego „największego poematu świata“. Poprzedzone świetnemi uwagami na temat formy, zaciekawia czytelnika artystycznem odczuwaniem piękna „Króla Ducha“ i pewnem nowem ujęciem jego strony malarskiej i dźwiękowej. Żałować należy, że rozdział o **„lekturze Króla Ducha“** zwraca uwagę tylko jakby pobieżnie na te walory piękna mistycznego poematu Słowackiego. Przypuszczać jednak wypada, że wśród rozległych planów na przyszłość autora „Okien“, znajdzie się miejsce na wyczerpujące studjum, którego szkicem tylko jest rozdział poświęcony „lekturze Króla Ducha“.

Do rozdziału, napisanego z wielkiem zacięciem publicystycznem, należą uwagi na temat kultury narodowej. Zastanawia się w nich Pawlikowski nad całkowitem zlekceważeniem literatury i sztuki narodowej, w miejsce której propaguje się usilnie sztukę międzynarodową, najczęściej o semickiem obliczu. Winę przypisuje autor, słusznie zresztą pewnej obojętności społeczeństwa, nawet narodowo myślącego, polskie zjawiska w literaturze i sztuce, oraz brakowi dostatecznej krytyki, która winna bezstronnie informować ogół o niebezpieczeństwie całkowitej zatraty narodowej sztuki. Pewne utarte i narzucone z góry poglądy „Wiadomości Literackich“, na których wychowuje się ślepo współczesne pokolenie, nie zdające sobie należycie sprawy, że podstawiono mu krzywe zwierciadła, by powoli oswajało się „ze skrzywieniem naszej duszy“ — to prawie jedyne źródła czerpania sądów przez ogół.

Czyta się dziś przeważnie liche tłumaczenia, które propagują pacyfizm, by pod jego płaszczykiem narzucić ideały międzynarodowej kultury, a nie zagłębia się w lekturę dzieł n. p. takich jak „Artur i Wanda“, które przełożyli Czesi, „traktując materjał ten jako skarb moralny Słowiańszczyzny“ — jak to we wstępie zaznaczyli.

Na wszystkie pola życia narodowego wciska się dziś chyłkiem duch internacjonalizmu i trzeba zdobyć się na duży wysiłek „jeśli się ma dbać o kulturę narodową“. Tylko „organiczne odrębności kultur narodowych“ zdolne są wzbogacić „wzajemnie inne kultury“, bo „są to kultury żywe, dynamiczne, twórcze za życia narodu, a i po przejściu grupy, która je stworzyła przechowują żywe ziarno, jak egipska pszenica, zdolne do odżycia i nowych zapłodnień“. „Sztuka narodowa polska musi być dziełem duszy polskiej i nie stać w sprzeczności z polskim sposobem czucia i myślenia“.

„Okna“ Pawlikowskiego to podwójnie ciekawa książeczka. Ze względu na materjał znajdujący się w tym zbiorku i na rozległy horyzont literacki jego autora. Więcej takich książek, a przez okna skarbca kultury narodowej widzieć będziemy mogli coraz więcej przechodniów o prawdziwie polskiem obliczu.

Estees.

Dzieje klimatologji

Polacy pracowali skutecznie na wielu polach nauki, sława jednak polskich uczonych przebrzmiewała szybko, prace ich szły w zapomnienie, a obcy, zwłaszcza Niemcy, korzystali z tego stanu rzeczy i przyswajali sobie wyniki prac i badań polskich.

To też gdy w obecnych czasach dzienniki i radjo ogłaszają codziennie biuletyny meteorologiczne i kwestja ta interesuje coraz więcej szerokie sfery każdego społeczeństwa, należy zapoznać się z historją rozwoju nauki o klimacie i przypomnieć Polakom, że ich przodkowie w pierwszej linji zasłużyli się na tem polu.

W Polsce uznawano oddawna znaczenie i ważność nauki i wiedzy meteorologicznej dla rolnictwa i przemysłu. Z początku rolnicy tworzyli na podstawie własnych obserwacyj wiele trafnych przysłów i wskazań o klimacie, stały się one podstawą prac systematycznych, stworzono metody i zaczęto ujmować je w pewne ramy, zakreślając im cele naukowe, gospodarcze i zdrowotne. Wkońcu znajomość klimatologji podniesiono w Polsce do godności nauki, na ziemiach polskich urządzono pierwsze stacje obserwacyjne, a zagranica za naszym przykładem zaczęła również pracować w tym kierunku.

Najstarsza nietylko w Polsce, lecz również w Europie, stacja obserwacyjna powstała we Wrocławiu na Śląsku, w czasie, gdy w krainie tej panowali jeszcze Piastowie. Początki tej stacji giną w niepamięci z powodu braku zapisków, jednak musiały przedstawiać się poważnie, gdy stacja ta mogła z końcem XVI stulecia dostarczyć Polsce wielu uczonych dla pracy w stacjach obserwacyjnych Warszawy, Krakowa, Lwowa, Wilna, Poznania i Gdańska. W tym czasie rolnicy polscy wspierali wielce intenzywnie rozwój nauki klimatologii i zakładali w swych dobrach liczne prywatne stacje obserwacyjne, zwłaszcza na kresach wschodnich.

Zamieszki wojenne i spustoszenia z tem związane zniszczyły wiele zapisków i dowodów pracy na tem polu. Stacje jednak istniały, nowe siły zawodowe kształciły się i to umożliwiło rozkwit stacji obserwacyjnej w Warszawie, której kierownictwo objął w 1779 r. ks. Bystrzycki, astronom króla Stanisława Augusta. Następstwo po nim objął profesor liceum warszawskiego Magiera. Oni to założyli i prowadzili stację u ujścia Bugu w Mikołajowie w 1809 roku, a niezadługo potem w 1812 roku trzecią większą stację w Kijowie.

Prace obu tych klimatologów zebrał i opracował W. Jastrzębowski w monografii p. t. „Karta meteorologiczna stolicy Królestwa Polskiego“.

Jest to najstarsza praca z dziedziny meteorologji w Europie. Jastrzębowski wydał również pracę w języku francuskim p. t. „Carte climatologique de Varsovie comme point central de l'Europe“.

Staszyc popierał bardzo wydatnie prace na tem polu i za jego inicjatywą ówczesny Rząd polski założył wiele stacyj obserwacyjnych w różnych stronach kraju. Klęska rozbiorów przerwała tę pracę, jednak niezupełnie. Różne prywatne, a także państwowe stacje funkcjonowały przy pomocy rolników i przemysłowców polskich i to przyczyniło się do dalszego rozwoju tej gałęzi nauki. — W połowie XIX wieku posiadamy na ziemiach polskich 24 czynnych stacji obserwacyjnych. w Krakowie Towarzystwo Naukowe tworzy w 1864 r. Komisję fizjograficzną, która zakłada w pierwszym roku swego istnienia 12, a w 1865 r. 19 stacyj meteorologicznych w samej Małopolsce.

W innych krajach Europy nie pracowano wówczas poważnie na tem polu. Wiedeń zakłada swa pierwszą stację obserwacyjną w drugiej połowie XIX wieku, wzorując się na Krakowie. Wkrótce Niemcy stają do współzawodnictwa z nami, zasiewają wprost swój kraj placówkami obserwacyjnemi, odmawiając Polakom wszelkiego poparcia w tej dziedzinie.

To samo czyni rząd rosyjski. W 1886 r. zakłada pierwszy swą stację meteorologiczną, podrywając równocześnie istnienie placówek polskich. Jednak warszawskie towarzystwo dla popierania przemysłu i handlu i jego Sekcja II nie dopuściły do upadku polskich stacyj i nie pozwoliły na zniszczenie dorobku polskiej nauki. Opierając się na ofiarności narodu polskiego, założono w tym czasie 29 nowych stacyj obserwacyjnych, które funkcjonowały sprawnie pod kompetentnym kierunkiem.

Wydział Krajowy we Lwowie poparł również skutecznie pracę na tem polu, którą prowadzili profesor Zbrożek i prof. Szulc. W 1887 r. posiadamy w Małopolsce 82 stacyj obserwacyjnych, których liczba podwoiła się w 1894 r. Prace tych placówek wzbogaciły polską naukę w bardzo obfity i ciekawy materjał fizjograficzny, przedstawiony w sprawozdaniach Komisji fizjograficznej w Krakowie, drukowanych corocznie jako wydawnictwa Akademji Umiejętności.

Prace warszawskie obejmują trzy dwudziestolecia od 1831 r. do 1890 roku.

Z końcem XIX stulecia istnieje ogółem na ziemiach polskich 207 stacyj meteorologicznych, 568 stacyj ombrometrycznych i wiele placówek klimatycznych. Polska też literatura naukowa jest wielce bogatą w monografje i prace naukowe, obejmujące większe obszary ziem polskich lub całość.

„Kosmos“ wylicza wiele tych prac w 1919 roku, poczynając od dawnych czasów. Już Długosz podaje w swej historji liczne dane, tyczące się klimatu w Polsce. Wzmianki te Długosza zebrał Glogier i wydał w osobnej pracy p. t. „Wyciągi z dziejów Polski Długosza, dotyczące fizjografji dawnej Polski“. Pracę tę drukowano w Warszawie w 1888 r. w Pamiętnikach fizjograficznych t. III. W tomie XVI tych pamiętników drukowano drugą podobną pracę p. t. „Wypadkii średnich spostrzeżeń dokonanych na stacjach meteorologicznych z okresów dziesięciolecia 1886—1895 roku“.

W Krakowie wydano również poważne prace z dziedziny klimatologji. Akademja Umiejętności drukuje w 1889 r. w 35 tomie Sprawozdań Komisji fizjograficznej pracę Mereckiego p. t. „Klimatologia ziem polskich“. Ten sam autor wydaje w 1899 r. w Warszawie drugą pracę p. t.: „Niedosyt powietrza w Królestwie Polskiem w zachodnich guberniach cesarstwa i w Galicji“.

We Lwowie wychodzi w 1898 r. praca prof. Szulca p. t. „Ogólny zarys stref klimatologicznych w Galicji“. Profesor Romer ogłasza swą pracę p. t.: „Geograficzne rozmieszczenie opadów atmosferycznych w krajach karpackich“, a w 1906 r. pracę p. t. „Klimat ziem polskich“.

Przestudjowanie dzieł z dziedziny klimatologji przekona Polaków o ważności i wartości tej gałęzi wiedzy. Klimat bowiem i człowiek są zawsze ze sobą ściśle związane. Życie każdego narodu, jego charakter, działalność gospodarcza i kulturalna, obyczaje i zwyczaje, życie codzienne, potrzeby i dążenia urabiają się i ustalają zawsze w walce człowieka z przyrodą. Na tem tle rozwijają się siły fizyczne, duchowe i umysłowe człowieka i narodu. Historja dowodzi na każdym kroku, że klimat gra pierwszorzędną rolę w rozwoju politycznej i gospodarczej potęgi narodów.

Nieznajomość fizjografii własnego kraju prowadzi często na fałszywe drogi. Znajomość ta w Polsce nauczy nas szacunku i zaufania do własnego kraju, przekona nas, że klimat polski jest korzystny pod wielu względami, że ciśnienie powietrza w Polsce odpowiada potrzebie naszego organizmu, że stosunki nasze klimatyczne wywierają dodatni wpływ na naszą zdrowotność. Studja nad hygjenicznem znaczeniem wiatrów dadzą nam również wiele praktycznych wskazówek do porównań naszego klimatu z zagranicą. A przedewszystkiem wiedza ta przyczyni się znakomicie do należytego ukształtowania się nowoczesnej duszy polskiej.

Dr. J. SKULSKI (Kraków).

SWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

Jak już wspominaliśmy, tegoroczna moda jesienna pozostawia duże pole do rozwinięcia fantazji i pomysłowości pod znakiem indywidualnego gustu.

— Zaczyna się to od kapelusza. Zasadniczo mają one główki wysokie, spiczaste, przybrane na szczycie wstążką pękiem piór, czasem jednem tylko piórkiem sterczącem z tyłu, lub przypiętem z fantazją z boku. Ale obok tego dużem powodzeniem cieszą się i berety i turbany i toczki, fantastycznie pozaginane o niezbyt szerokich brzegach. Na popołudnie zaś najmodniejszy jest aksamitny kapelusik „tricorne“, którego wygląd nie zawsze usprawiedliwia nazwę: bywają bowiem pozaginane nietylko na trzech, lecz i na dwóch, a nawet na jednym tylko rogu.

— Żakieciki zazwyczaj 3/4 długości, choć widzi się i zupełnie krótkie, nierzadko z baskiną, odpowiednią dla kobiet szczupłych.

— Suknie popołudniowe niezbyt długie, 15—20 ctm. od ziemi. Natomiast suknie wieczorowe zupełnie długie, dłuższe niż w zeszłym roku, — zazwyczaj z trenem.

— Ogromnem wzięciem cieszą się tuniki, rozmaitej długości, sporządzone z tego samego materjału co suknia, albo przeciwnie: z zupełnie odmiennego, kontrastowego w kolorze. Można je nosić do każdej prawie sukni, dzięki czemu wnosimy pewne urozmaicenie w naszą garderobę, w tych kryzysowych czasach z konieczności niezbyt obfitą.

— Płaszcze tej samej długości co suknia, zapinane rzeważnie z boku, rękawy lekko tylko rozszerzone, przy ręce ujęte dość ciasno w mankiet. Przybrane bogato albo kołnierzem futrzanym, dość dużym, albo futrzanemi rewersami, mankietami, naszyciami na rękawach i kieszeniach.

— Wełniane suknie płaszczowe są w tej chwili najpopularniejszym strojem eleganckiej Paryżanki.

— Suknie codzienne na ogół bardzo skromne, — cały nacisk kładzie się na doskonałość kroju i na dobór materjału. Jedynem ich przybraniem jest skórzany, szeroki pasek — oraz żabocik lub jasny kołnierzyk.

— Kostjumy popołudniowe składają z krótkiego żakieciku zapiętego na jeden rząd guzików, dość obcisłego. — oraz ze sukni, dołem rozszerzonej kloszowo. Najodpowiedniejszym materjałem będzie aksamit, zawsze bardzo efektowny, a dosyć praktyczny w noszeniu.

— Największa rozmaitość panuje w strojnych sukniach wieczorowych. Najładniej może wygląda suknia t. zw. „fourreau“, bardzo długa i badzo obcisła, wymagająca jednak smukłej i zgrabnej sylwetki. U dołu rozszerzone one bywają w sute falbanki, albo też rozcięte aż do kolan.

Obok tego jednak cała masa innych modeli, wzorujących się po części na modach z dawno minionej epoki. A więc widzi się suknie w stylu Ludwika XV. z wyciętym stanikiem, odsłaniającym zupełnie ramiona. Widzi się wysokie kołnierze koronkowe przypominające czasy Medyceuszów — i spódniczki u dołu bardzo szerokie, naszywane dżetami i falbanami. Wybór bogaty, pozwalający każdej kobiecie znaleść coś odpowiedniego dla jej sylwetki i gustu.

— Dużo kokard, począwszy od zgrabnych kokardek pod szyją, aż do ogromnych, szerokich kokard, osłaniających niemal całe plecy przy dekoltowanych sukniach wieczorowych.

— Dawne, dobre czasy przypomną nam olbrzymie wachlarze z piór strusich, które ujrzymy w nadchodzącym sezonie zimowym. Do wieczorowej sukni z trenem wachlarz będzie nieodłącznym dodatkiem.

— Futrzane peleryny, „capes“, sięgające do pasa wyglądają bardzo elegancko i cieszą się ogromnem wzięciem.

— Z kolorów, obok zawsze modnego czarnego, widzi się najwięcej łagodny fiolet, bronz w rozmaitych odcieniach „bleu marin“ i zieleń.



Efektowna bluzka ze srebrnej lamy z oryginalnym krojem rękawów.

Chleb owocowy

Każda pani domu, pragnąc dopomóc rolnictwu do przetrwania kryzysu, winna dążyć do zużytkowania żytniej mąki w swem gospodarstwie — ale nie tylko z poczucia obowiązku, ale i dlatego, że żytni chleb, zwłaszcza niezbyt biały, jest smaczny, pożywny, dłużej trzyma wilgoć, wolniej czerstwieje niż pszenny a dobrze upieczony po tygodniu jest równie dobry jak nazajutrz po upieczeniu.

Chodzi tylko o to, żeby wprowadzić pewne urozmaicenie w sposobach jego pieczenia. W tym celu podajemy przepis doskonałego chleba owocowego, który napewno będzie miał powodzenie: 4 kg. mąki żytniej, 2 litry wody, pół szklanki cukru, 2 kg. suszonych gruszek albo śliwek, dwie łyżeczki soli, 10 deka drożdży

Wykonanie: Owoce suszone umyć i zamoczyć na noc w 2 litrach wody, nazajutrz ugotować je w tej samej wodzie z dodatkiem cukru na miękko, wodę odlać i użyć do rozczynania połowy mąki z 10 deka drożdży. Gdy rozczyn wyrośnie, przyczynić resztę mąki, osolić ciasto i wyrobić je dobrze aż od rąk odstawać będzie. Poczekać około godziny na powtórne wyrośnięcie, poczem pokrajać owoce w cienkie plastry, rozciągnąć warstwę ciasta na stolnicy, posypanej mąką, położyć no to sporo owoców, zwinąć ciasto jak pierog, dobrze przycisnąć z dwóch stron, aby nie odstawało od owoców i jeszcze pokłóć je widelcem w kilku miejscach, a gdy urośnie, piec przez godzinę w dobrze wypalonym piecu posmarowawszy z wierzchu wodą owocową, której trochę w tym celu należy zostawić. Taki chleb jest doskonały, posiada zupełnie odrębny smak i bardzo długo urzymuje się w stanie świeżym.

Z tego samego ciasta można robić małe bułeczki w kształcie pierożków nadziewanych. Gruszki użyte do tego chleba mogą być nieobrane, ciemne, z tanich letnich odmian. Doskonałe na ten cel są stare jedwabnice, królewny, cukrówki; wszelkie mięsiste i słodkie gruszki.

Szwedzkie ciasto żytnie (Knikkebred) ½ kg. mąki żytniej, 125 g. masła, ¼ l. mleka; pół łyżeczki soli i tyleż kminku. Masło z mąką i solą posiekać, kropiąc po trochu mlekiem, posypać kminkiem, szybko zgnieść i wałkować podsypując mąką cienkie placki wielkości blachy, ponakrawać w ukośne kawałki i szybko upiec w średnio gorącym piecu. Po wyjęciu poprzełamywać w miejscach nadkrajanych. Smaczne i trwałe.

Suknia wieczorowa

Potrzeba na nią 3 i pół mtr. materjału. Stanik: na przód bierzemy 25 ctm. na 54 ctm. szerokości. Od wstawki wykroić na 5 ctm. wysokości na górny brzeg rękawa. Pod pachą zmarszczyć. Wstawka 30 ctm. na 60 ctm. długości. Plecy 44 ctm. szerokości na 40 ctm. wysokości. Rękaw dość szeroki. długości 45 ctm.

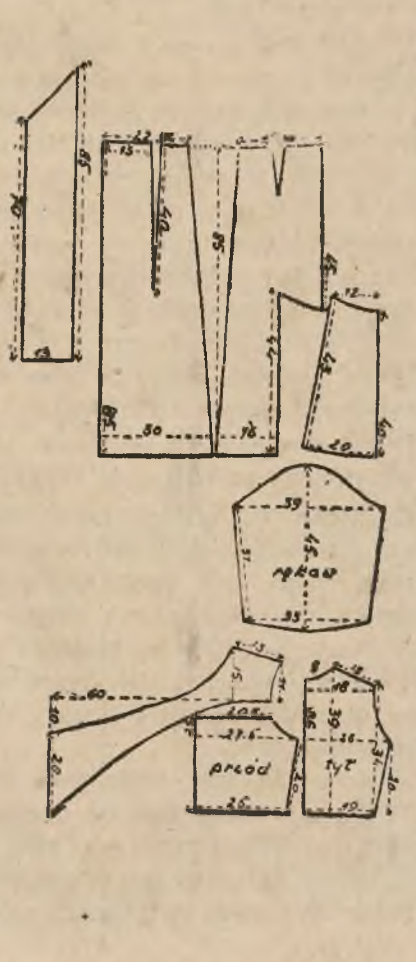
Spodnica: 30 ctm. szerokość na 90 ctm. długości, z przodu wszyta.

Pasek dość szeroki, wiązany z tyłu.

Oryginalny model sukni wizytowej, ze znacznie rozszerzającą się ku dołowi spodniczką.

Efektowna bluzka ze srebrnej lamy; rękawy bardzo szerokie, zmarszczone na ramionach i w manszecie





W sezonie grzybów

Grzyby borowiki nadziewane i smażone

Odciąć kapelusze od korzenia, oczyścić i gotować we wrzątku pięć minut. Gdy ostygną, nakładać z nadzieniem przyrządzonem z rozmoczonej w mleku bułki, jajka i zielonej pietruszki, poczem obsypywać mąką, maczać w jaju, opruszać bułeczką i smażyć na rozgrzanem maśle. Podawać smażone grzybki, jako garnitur do kapusty.

Podpieńki duszone z kwaśną kapustą

Podpieńki są to jesienne grzybki bardzo smaczne, rzadko kiedy zdarzają się robaczywe: korzonki są włókniste i twarde, odcina się je więc i suszy na zimę na smak do barszczu. Czapeczki poszatkować drobno, wymyć i dobrze osączyć, włożyć do rondla na usmażoną cebulę, dusić wolno pod pokrywą, nie dodając narazie wody, gdy wyparują oprószyć mąką, dodać posiekanej zielonej pietruszki, podlać wodą, śmietaną, lub mlekiem i podać do mięsa lub do ziemniaków. Zmieszać można podpieńki z takąż ilością ugotowanej kapusty kwaśnej i podać do ziemniaków.

Rydze

Ładne, młode rydzyki opłókać czysto w wodzie, ułożyć na sito kapeluszami nadół, aby ociekły z wody, poczem rozpalić na patelni masło, ponadkrawać rydzyki, oprószyć lekko solą, smażyć na ostrym ogniu aż przypieką się od spodu; nie ruszać rydzów ani nie mieszać, podnosić widelcem, o ile rydzyk się przypiekł polać śmietaną, zagotować i zaraz podawać do ziemniaków.

OGÓRKI KWASZONE NA ZIMĘ

Pięćdziesiąt niewielkich ogórków dobrze wymyć, nie obcinając konjuszków i układać warstwami w słoju, przesypując liśćmi wiśniowemi lub dębowemi i koprem. Dodać można dwa ząbki czosnku, maleńki korzonek chrzanu i 3 strączki papryki. Na wierzch nałożyć grubą warstwę kopru i liści, zalać wodą osoloną (15 dkg. soli) tak, aby pokryła ogórki przynajmniej na szerokość dłoni i zostawić przez noc odkryte.

KORNISZONY

Obetrzeć dobrze nasolić na 12 godzin z soli wyjąć, znowu obetrzeć, zalać octem letnim przegotowanym z korzeniami (bez cukru) za parę godzin ocet zlać, znów zagotować i znowu zalać ale już octem gorętszym, a trzeci raz zalać już gorącym octem. Odstępy po jakieś 12 godzin (rano i wieczór).